



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

W pewnych stałych terminach powtarzają się pewne szablonowe określenia: np. „Warszawa opustoszała“; nie potrzebaby niczego więcej dodać, aby czytelnik od razu się dorożumiał, że mówi się o Warszawie w Lipcu, podczas kanikuly, gdy całe towarzystwo u wód i w kąpielach, gdy żony i dzieci na letnich mieszkaniach, a mężowie słomianych wdowców rolę grają na miejskim bruku, że to pora ogródkowych teatrzyków i teatralnych urlopów, że się w mieście nie, albo prawie nic ważnego nie dzieje, skutkiem czego prasa przypomina wielce beczkę Danaid.

Jest pusto, jest głucho i podobno jest nudno; mam tę szczęśliwą naturę, że się nie nudzę, więc nie umiem sprawdzić tego ostatniego szczegółu, który stanowi w Warszawie wybitną cechę ogródkowej pory.

Jest pusto — to prawda, ale może to i lepiej; jakoś przestronniej zrobiło się wszędzie i nie spotyka się nigdzie nieznośnego tłoku, nawet powietrze wydaje się czystiejszem na ulicach i w ogrodach.

Jest głucho — i to prawda, ale przynajmniej uszy, nerwy i języki wypocząć mogą przez czas letnich miesięcy.

Jest nudno — jak dla kogo.

Dla ludzi mających stałe zajęcie, dla ludzi pracy i skromniejszych wymogów, nie jest wcale nudniej teraz, niż dwa miesiące temu lub dwa miesiące później.

Nudy są zbytekiem, na który sobie nie wszyscy zjadacze chleba pozwolić mogą, i dlatego ci, co z konieczności martwy sezon spędzać muszą na

bruku miejskim, nie bardzo się nudzą, bo im niewiele na to czasu pozostaje.

Rozrywek nie tak bardzo znowu brak w Warszawie; jest stałych teatrów i teatrzyków aż sześć, jest cyrk letni w Dolinie Szwajcarskiej; można od biedy wieczory spędzać niekoniecznie ziewając, zwłaszcza, jeżeli się korzysta z przechadzek. Zabrakło po raz pierwszy w tym roku opery, bo wszystkich jej członków rozpuszczono na dwumiesięczny urlop, a pana dyrektora Rzebiezka uwolniono od dalszych obowiązków zupełnie, wraz z p. Dumont'em.

Miejscie pierwszego zajmie włoch, maestro Bagnani, podobno znakomity kapelmistrz i kierownik opery, przyzwyczajony do wytrawnych śpiewaków, świetnych chórów i doskonałej orkiestry.

Drugim dyrektorem został zamianowany p. Toszmałow, polecony przez wytrawnych muzyków petersburskich. O ile te nowe siły wzmocnią samą operę warszawską, przekonamy się dopiero w dniu otwarcia Teatru Wielkiego, które nastąpi nieodwołalnie 11-go Września r. b.

Miałem sposobność zwiedzać wnętrze przebudowanego gmachu, według planów architekta, p. Żochowskiego; nie obawiam się zepsuć moim czytelnikom wrażenia tej niespodzianki, jaka ich czeka, gdy poraz pierwszy znajdą się znowu w tejsamej sali, którą opuścili w roku zeszłym brudną, zakurzoną i niewygodną.

Nie poznają z pewnością wnętrza Teatru Wielkiego, począwszy od podjazdu i przedsionka, aż do kurtyny i sceny, imponującej dziś olbrzymimi swymi rozmiarami; w głębi dawniejszej sceny bowiem dobudowano gmach tak z nią połączony, iż w razie potrzeby można będzie dołączyć przytykającą salę baletową i wytworzyć świetną perspektywę dla optycznych złudzeń i niknących daleko, daleko horyzontów dekoracyjnych.

Wspaniała w całym tego słowa znaczeniu jest nowa maszynerya pod sceną i za kulisami; hy-

drauliczne dźwignie podnoszą i spuszczaają w okamgnieniu ogromne „atrapy“, umożliwiają zmianę dekoracyi w mig, ułatwiają znikanie całych tłumów i wyprowadzanie ich z pod ziemi.

Wszystko to do baletów czarodziejskich, do efektów i złudzeń dekoracyjnych, znakomitych dostarczy środków, byle znalazła się tylko sposobność ich zastosowania.

Śmiało powiedzieć można, że na scenie Teatru Wielkiego cały oddział kawalerii mógłby swobodnie manewrować i miejsca-by mu nie zabrakło.

Sala widzów nie jest znowu tak znacznie powiększoną; przybyło miejsc dla publiczności tylko około stu, ale za to znalazły się wygodne wyjścia i przejścia z boku i przez środek krzeseł parterowych; amfiteatru wyższych piątr zamieniły się na szereg foteli, które zapewne staną się ulubioną siedzibą tej publiczności, która zechce dobrze widzieć, a niekoniecznie być dobrze widzianą.

Miejsc stojących nie będzie wcale, nawet na paradyzie.

Świetnie przedstawiają się łoże, których parapety, wykonane ozdobnie z kutego żelaza *à jour*, dodają pozorów elegancyi i większej lekkości całej wewnętrznej ornamentyce, trzymanej w kołach jasnych i wesołych.

W olbrzymich komorach pod salą widzów znajdują się przyrządy do ogrzewania w zimie, a ochładzania w lecie świeżego powietrza, które włączane będzie do sali przez otwory w podłodze, zepsuta zaś i zbyteńno rozgrzana atmosfera wyprowadzać będą wentylatory u stropu i rozwiewać u szczytu dachu skrzydła mechanicznego wiatraka.

Oświetlenie sali, sceny, garderób, kurrytarzy i przedsionków będzie elektryczne; maszyny są już od dawna gotowe i w ruch puszczone. Roboty odbywają się właśnie przy takim oświetleniu, które sprawnia wrażenie białego dnia w olbrzymim wnętrzu Teatru Wielkiego.

Klatka schodowa, zupełnie przebudowana i zmieniona, przedstawia się niemal imponująco; foyer połączone z balkonem, rozciąga się ponad przedsionek główny i dostarcza wiele swobodnego miejsca dla publiczności, która w międzyaktach zechce używać ruchu i zabawić się pogawędka.

Dla tego miejsca właśnie usunięto drugi rząd filarów, i estetyczną wyłamano szczerbę w ogólnym efekcie pięknego frontonu, o czem pisaliśmy wszyscy tyle w roku zeszłym.

Praktyczność poświęciła estetykę, ale za to publiczność zyskała foyer, jakie niewiele teatrów zagranicznych posiada.

Tutaj staną posągi Żółkowskiego, Królikowskiego i Moniuszki, anadto Józefiny Reszkówny, której małżonek, p. Leopold Kronenberg przyrzekł własnym kosztem upamiętnić w marmurze znaczenie jej w sztuce i zasługi na scenie warszawskiej położone.

Kurtyna główna i dekoracje wykończone zostały przez najznakomitszych w tym rodzaju mistrzów wiedeńskich.

Rozmawiałem w tej sprawie z jednym z malarzy naszych, który otwarcie mi powiedział:

— Zapewne, lepiejby było, aby nasi przy takiej robocie zarobili, ale wierzę mi pan, to nie tak łatwa rzecz, jak się wydaje. Nie widzę u nas dekoratorów, którzyby mogli stanąć na równi z takimi specjalistami w tym rodzaju, jak Burkhardt lub Kautsky. Ci, którzyby potrafili wymalować taksamo, nie podejmą się, bo to się im nie opłaci; reszta nie da rady zadaniu. Jest przecież dekoratornia teatralna, która zwyczajnie potrzeby sceny zaspakaja bardzo dobrze, ale kiedy chodzi o nadzwyczajne dekoracje, i to szybko, trzeba, niestety, uciekać się do pomocy obcej.

Nie umiałem mu na to odpowiedzieć, bo chyba malarz będzie w tym względzie miał prawdziwsze wyobrażenie odemnie.

Za jakie sześć tygodni mają być tedy wszystkie roboty najważniejsze ukończone w Teatrze Wielkim; przedstawienia rozpoczną widowisko, złożone z trzech rodzajów sztuki na wielkiej scenie zadowolonej, a mianowicie: z opery, dramatu i baletu.

O ile mi wiadomo, projektowana jest słynna już opera Mascagni'ego „Rycerskość wieśniacza“ (*Cavalleria rusticana*), poetyczny obraz Juliana Żetowskiego, drukowany niegdyś w „Tygodniku ilustrowanym“ p. t. „Firdusi“ i nowy balet, dużem powodzeniem uwieńczony za granicą „Wieszczka lalek“ (*Die Puppenfee*), mówią też coś o prologu dopiero napisać się mającym, ale to jeszcze należy do pomysłów, nieujętych w stanowczy zamiar.

Jako najnowsza nowość wystąpią... lornetki, o których wspominałem już swego czasu; będą wypożyczane bezpłatnie przy wejściu do teatru każdemu, kto 1-o: tego zażąda, 2-o: będzie w posiadaniu okrycia wierzchniego, aby je mógł złożyć na zastaw a 3-o nie zrazi się teorią o mikrobach wszelakiego rodzaju, przenoszonych z jednych oczu na drugie.

To ostatnie przypuszczenie powstało w głowie strachajłów i optyków, którym się innowacja ta w teatrze nie bardzo podobała, bo ograniczy zbyt lornetek i binokli na własność prywatną.

*

*

*

Ze stanowiska interesów osobistych nie podobają się także kamienicznikom naszym projekt p. Devarsa co do bulwarów nad Wisłą.

— Wie pan—mówił mi jeden z zamożniejszych posiadaczy kilku domów w Warszawie—bulwary są nam tak potrzebne, jak dziura w bucie. Najprzód za drogę-by miasto kosztowały, powtóre stworzyłyby nam znaczną konkurencją; wszystkie się pchało do nowej wspaniałej dzielnicy, w której kamienice, uwolnione od podatków, dostarczyły-by tańszych stosunkowo mieszkań, niż w środku miasta. Dzisiaj i tak mamy dosyć kłopotu z lokatorami, a potem musielibyśmy ich za polę przytrzymywać.

— Czyż to naprawdę takie niebezpieczeństwo? — zapytałem.

— Ba, dobrze panu mówić, skoro nie posiadasz żadnej nieruchomości—westchnął z miną męczennika Atlasa, dźwigającego na swoich barkach kilka trzypiętrowych kamienic; — gdybyś pan miał choć jeden dom i co kwartał musiał zbierać komorne, słuchać pretensyi swoich lokatorów, zaprowadzać kanalizacyę, odnawiać zajęte mieszkania i kłopotać się o wynajęcie niezajętych, płacić raty Towarzystwu etc. etc. etc. zrozumiałbyś, co to znaczy konkurencya!..

— Ach, panie drogi, gdybym miał chociaż domek własny, jak ślimak!—przerwałem mu z melancholią człowieka, który dopiero co musiał opłacić komorne.

— Wierzę mi pan, że i ja wolałbym być ślimakiem, albo ostrygą, niż właścicielem!..

— Kilku kamienic — dokończyłem za niego, a w duszy westchnąłem jednak do nieba, aby p. Devarsovi powiodło się wybudować bulwary, a na bulwarach nowe domy, w których mógłbym znaleźć mieszkanie i tańsze, i jeszcze wygodniejsze, niż dotychczas.

Zdaje mi się przytem, że obawy panów kamieniczników są przesadzone.

Warszawa rozrasta się szybko, ludności przybywa jej ciągle, bulwary zaś w najlepszym razie nie powstaną jak zaklęte spod ziemi, nie zabudują się także odrazu; na to wszystko trzeba będzie lat kilku a może kilkunastu, a przez ten czas liczba mieszkańców znowu wzrośnie i lokatorów nikomu nie zabraknie.

Występować przeciw bulwarom ze stanowiska konkurencyi kamieniczników, to dowód bardzo ciasnego poglądu na sprawy ogólne całego miasta; miasto na tem tylko zyskać może, zarówno ze względów estetycznych, jak i higienicznych. Zresztą, przyszłość to najlepiej rozsądzi.

*

*

*

Od kilku lat pisano się u nas na łokcie i sążnie o tak zwanej „sztuce stosowanej;“ wszelkiej miary estetycy wyrażali swoje zdania, dawali wskazówki i rady, — no i nie można powiedzieć, aby to wszystko poszło, jak plewa z wiatrem.

Powoli z tego posiewu kiełkują już, wątle wprawdzie, ale widoczne plony.

Przed kilku dniami byłem na przenosinach „Salonu artystycznego“, który założyła spółka malarzy i rzeźbiarzy z czcigodnym prof. Gersonem na czele, w celu wytworzenia dla sztuki nowego ogniska praktycznej działalności.

„Salon“ zajmuje dziś obszerny lokal na pierwszym piętrze przy Nowym Świecie, pod Nr. 27-ym i mieści wcale liczną wystawę obrazów oryginalnych i kopiowanych, rzeźb, ozdobnych gracików i okazów owej sztuki, która próbuje się popularyzować w najszerszych kołach.

Pod troskliwą opieką i administracyą p. Pawłowskiego, gospodarza tego „Salonu“, przy starannej pomocy nadzorczej zarządu, rozwija się i wzrasta działalność artystycznej spółki, której potrzeba tylko większego poparcia ze strony ogółu.

Jednym z najważniejszych zadań jej jest wznawienie pięknej niegdyś tradycyi sztuki religijnej, której dzieła szły na ozdobę świątyni i przyczyniały się naprawdę do „chwały Bożej.“ Mówi się u nas tak często o braku malarstwa religijnego, o upadku tego rodzaju, do którego podobno niema odpowiednich talentów i nastroju w dzisiejszych chłodnych i trzeźwych czasach; a jednak proszę zajrzeć do „Salonu artystycznego“ i zobaczyć, jak ten rodzaj „na zamówienie“ zaczyna się wytwarzać pod penszlem naszych malarzy, którzy nie sprostają wprawdzie mistrzom średniowiecznym włoskiej szkoły, ale malują obrazy treści religijnej, mające wszelkie prawo do miana rzeczywistych dzieł sztuki i talentu.

Niejeden kościół na dalekiej nawet prowincyi zyskał piękną ozdobę w tym rodzaju, w niejednym ołtarzu już zawieszono pracę prawdziwego artysty-malarza, zamiast bohomasów jakiegoś bezimiennego partacza, malującego świątyni na na łokcie i za wynagrodzeniem od sztuki.

Ten dział stanowi, jak dotąd, najgłówniejsze źródło dochodu dla spółki artystycznej—i śmiało

polecieć go można wszystkim, którzy nad budową nowych lub odnawianiem starych kościołów czuwają.

Dodać należy, iż nie same obrazy, ale wszelkie aparaty kościelne, mające związek ze sztuką, wszelkie rzeźby figuralne i ornamentacyjne, można sprowadzać lub zamawiać u artystów, nie rzemieślników, za pośrednictwem „Salonu“.

Nie trzeba mniemać, że poza tem — „Salon“ zaniebuje inne kierunki i rodzaje sztuki; można w nim znaleźć taksamo ozdobę ołtarza, jak ozdobę salonu i nabytek dla prywatnej galeryi, można się ułożyć o zrobienie dobrego portretu lub nabyć piękny posążek albo grupę z terracotty, można wreszcie kupić jeden z ozdobnych gracików na biurko, malewany przycisk lub nożyk do rozcinania kart,—wszystko to znajdzie się w Salonie artystycznym, dodajmy po cenach bardzo przystępnych, a nawet... na spłatę ratami.

Jeżeli zwracamy naszych czytelników uwagę na właściwe znaczenie i cel takiego „Salonu“, to czynimy to dla większego spopularyzowania sztuki, która nie wyrzekając się swych szlachetniejszych ambicji, pragnie i dla „powszedniego chleba“ znaleźć u nas drogę większego rozpowszechnienia.

*

*

*

Sprawa wychodźstwa do Brazylii była przedmiotem żywszego zajęcia i prawie jedyną żywością kwestyą „martwego sezonu“.

Przed dziesięcioma dniami powrócił z za Oceanu towarzysz p. Mikołaja Glinki, niestrudzony ks. rektor Chełmicki, który wysłał z Rio drugą partycyą biedaków, i sam po czteromiesięcznej podróży z obfitym materiałem studyów i spostrzeżeń stanął w Warszawie.

Ogółem dwustu ośmdziesięciu kilku rozbitków udało się uratować, których, za zebrany grosz z publicznej ofiarności, przywieziono do kraju.

Miałem sposobność w przystani bremeńskiej widzieć naocznie wyładowanie pierwszej partycy wychodźców; byłem tam, jako korespondent „Kuryera Codziennego“ i prawie do samej granicy jechałem z nimi jednym pociągiem.

Nasłuchałem się opowiadań o ciężkiej niedoli, zawodach, jakich wszyscy oni doświadczyli za morzem, wybrawszy się po złote runo, zwabieni obietnicami niesumiennych poddawiaczy, różnemi baśniami, które rozpuszczano przed rokiem pomiędzy ludem i klasą robotniczą.

Było do przewidzenia, że w rzeczywistości wszystkie cacanki-obiecanki zawiodą; ale głosu zdrowego rozsądku i życzliwej przestrogi słuchać nie chciano. Ómy popędziły w płomień, mnóstwo ich zginęło, pewna cząstka z osmalonemi skrzydełkami uratowała się; i ta cząstka właśnie, sprowadzona przez litość i miłosierdzie do kraju, powinna się stać środkiem ochronnym, zapobiegającym szerzeniu się dalszej zarazy brazylijskiej.

Do każdego powiatu powróciło teraz po kilka lub kilkanaście jednostek, zgnęźniałych, zbiedzonych, schorowanych, które borykając się ze srogim losem, na własnej skórze przyniosły najlepsze świadectwo, czem ta „Brendzylia“ jest dla wychodźców, nawet w najkorzystniejszych warunkach.

Miałem naoczny dowód w Bremie, jak silnie podziałać może żywy przykład niepomyślnej wyprawy za morze. Wieśniacza rodzina, z siedmiu osób złożona, z płaczem i błogosławieństwem wróciła natychmiast z drogi, gdy usłyszała na dworcu opowiadania o rozkoszach brazylijskich i zobaczyła łachmany jadących emigrantów, poranione ich nogi, trądem pokryte twarze i wynędzniałe oblicza.

Ks. Chełmicki do zbadania stosunków wychodźczych na miejscu zabrał się z wielką energią i poświęceniem; trafił tam w Rio i Curitibie do osób wpływowych, zabrał głos w prasie brazylijskiej, wskazał ważniejsze błędy i niedostatki w całym systemie kolonizacyjnym i władzom tamtejszym zostawił wskazówki, co i jak należałoby naprawić, jeżeli to konieczne zle ma dalej istnieć.

Listy ks. Chełmickiego, w „Słowie“ i „Kuryerze Warszawskim“ drukowane, dają przerażają-

cy obraz marnowania ludzi i ogromnych kapitałów bez żadnego pożytku nawet dla samej Brazylii, dla której sprawa osadnictwa jest kwestyą pierwszorzędnego znaczenia.

Olbrzymie przestrzenie dziewiczych lasów, wielkie, nieprzebrane bogactwa natury, mogą być wyzyskane tylko przy bardzo starannej, ekonomicznie i humanitarnie prowadzonej organizacji zaludnienia tych puszczy, a właśnie pod temi dwoma względami dotychczasowy systemat bardzo szwankuje i domaga się koniecznej reformy.

Dla naszego chłopca lub robotnika największym wrogiem jest klimat i ta ziemia okrutna, która tutaj jest jego żywicielką i matką dobrotliwą, a tam despotką i najoporniejszą przeciwniczką, wyzywającą do walki wszystkie jego siły i całą wytrzymałość.

Zanim ją sobie podwładną uczyni, zanim ją zmusi do żywienia go, sam w pierw umiera z głodu i wycieńczenia wśród szumiących dziko borów, w których siekierą musi sobie każdą piędź ziemi wyrąbywać, pod słońcem rozżarzonem, jak piekielna głownia, w atmosferze pełnej zabójczych miazmatów febry, trawiącej najsilniejsze organizmy w kilku godzinach.

Walka straszna, rozpaczliwa, beznadziejna, z której zwyciężcą wychodzi jednostka a giną tysiące!...

O tem wszystkiem w jękach i bólu opowiadać muszą teraz po chatach i karczmach przywiezieni zza morza świadkowie, którzy doświadczyli sami, jak złudną jest nadzieja poprawienia sobie losu na obczyźnie, za Oceanem, w onej złotodajnej Brazylii.

A ci, co się im z dreszczem przysłuchują, nie dadzą się skusić już z pewnością namowom agentów i spekulantów, zarzucających nowe sieci na łatwowierne ofiary swoje.

Quis.

WAKACYE.

(Dokończenie).

Szkoła obok kształcenia naukowego wyrabia dziecko społecznie; zadaniem rodziny jest rozwijanie, uszlachetnianie uczuć—kształcenie moralne a ta część trudu, w wychowaniu najważniejsza, przypada na dział wpływów macierzyńskich, co jest rzeczą znaną już i uznaną przez wszystkich, lecz dobrze jest od czasu do czasu przypominać sobie obowiązki swoje, aby jasno i wyraźnie stały nam przed oczyma, nieprzysłonięte cieniem, rzucanym przez rozmaite przedmioty zajęć naszych. Szkoła oddaje niejako młodzież rodzinie na czas wakacyi, matka znajduje znowu te drogie sobie istoty tuż przy sercu swojem, lecz nie tylko ich dobrobyt materialny i przyjemne spędzenie czasu powinno tu być myślą jej troskliwą. Jak na przyjęcie miłych nam gości umiatamy nasz dom i ozdabiamy go, przystrajamy świątecznie, tak pod pewnym względem i tutaj dzieć się powinno i nie coby mogło przykro urazić szlachetnie bijące serce młode, nie coby ze strony rodziców było grubego realizmu dowodem, nie powinno się tu znaleźć na widowni życia rodzinnego. Dziecko, tak starsze, jak młodsze, winne jest rodzicom swoim, pod karą śmiertelnego grzechu niewdzięczności, uszanowanie i tkiwą o tem pamiętać, że to oni dali mu życie, że to oni pielęgnowali jego lata niemowlęce i teraz jeszcze ponoszą trudy i koszty jego wychowania, ale drugostronnie należy się dziecku od rodziców dobry przykład uczciwie, dostojnie wiedzionego życia.

Jest to jakoby droga, na którą wprowadzamy tak młodość, jakgdybyśmy biorąc ją za ręce wiedli za sobą: dlatego też wakacye powinny być uważane za moment czasu bardzo ważny dla duchowego życia młodzieży i należy to do obowią-

ków rodzicielskich, aby zostały zużytkowane jako wpływ wrażeń i przykładów dobrych, jako rozbudzenie uczuć szlachetnych. Obok tego należy rodzicom zbadać stan myśli i uczuć młodych. Ojciec powinien nieraz pomówić z młodzieżą starszą już nieco o życia celach i zadaniach ważniejszych; matce należy dobrać się niejako do głębi serca i uderzenia jego zmierzyć: czy bije ono dość żywo—czy bije prawidłowo? Jak postępować tu powinni rodzice rozumni, jak należy im się zajmować duchową stroną życia dzieci swoich może pokazać niedawno wyszłe w Paryżu studjum życia francuzkiego pedagoga, Alexandra Vinet (Etude sur Alexandre Vinet, par Louis Molines. Paris, Fischbacher). Był on synem nauczyciela ludowego w Szwajcaryi francuzkiej. Ojciec marzył dla niego o zawodzie duchownego, ale młodzieniec kształcąc się najpierw w gimnazjum, a potem na uniwersytecie w Lozannie, obrał sobie inną drogę życia: został professorem literatury najpierw w gimnazjum, potem na uniwersytecie w Bazylei, a jako wzór dla rodziców służyć może korespondencya, jaką prowadził z synem w epoce jego studyów uniwersyteckich. Syn pisywał do ojca często; jak bardzo wielu prozaików z epoki romantyzmu, zaczął od pisywania poezyi, które przysyłał ojcu, a w których ojciec ten rozumny i przez miłość dla syna niezależny, nie dostrzegł tego, co znamionuje talent poetyczny, i tak oto pisze o tem do syna: „Gdybym lękał się przedewszystkiem dotknąć cię w tem, co zabić cię może, nie spełniłbym mego ojcowskiego obowiązku, i w takim razie korespondencya nasza byłaby zgola niepotrzebną. Chcę przez nią zastąpić ci moją obok ciebie nieobecność i zarazem chcę z listów twoich dojść do wiadomości uczuć twych i poglądów na życie. Ojciec kochający prawdziwie nie bywa zaślepionym i obowiązkiem jego jest znać dziecko swoje, obowiązkiem jego jest śledzić uważnie wszystko, co mieści się w jego głębi, co z niej wychodzi“. List ten rozumny i uczciwy, dowodzący, nie kochania samego siebie w synu, ale prawdziwej miłości rodzicielskiej, kończył się wyrazami: „Adieu, mon très cher, mon très brave ami et fils“... Co to za piękny, co za szlachetny stosunek ojca do syna: poważny a zarazem tkiwy, godności pełny—i naśladować go powinni wszyscy rodzice synów czy córek. Z jednej strony jest tu młodzieniec kończący już studia filozoficzne, przyszły profesor uniwersytetu i literat, z drugiej skromny nauczyciel wiejski a niemniej powaga rodzicielska umie się tu utrzymać i działać. Może też utrzymać się i działać podobnie w zakresie tychsamych dających i powaga matki, która może zapragnąć również i zapragnąć powinna, aby stan uczuć i myśli jej młodego syna, tak, jak młodej córki, był jej wiadomym. Utrzymanie korespondencyi podobnej, jak Vineta z ojcem, jest może najlepszą, bo najprostszą drogą do zawiązania takiego stosunku, w którym myśli i pojęcia młodego umysłu występują na jaw i zadzierzguje się między rodzicami a synem, obok wrodzonych uczuć miłości, przywiązania dziecinnego, stosunek ducha z duchem—węzeł przyjaźni, która nie powadze rodzicielskiej nie ubliża a wykonywaniu obowiązków rodzicielskich dopomaga i młodości życie ułatwia. Gdy tak jest, duch młody odsłania się z ufnością przed rodzicami, których doświadczenie wspomagać może i powinno niedoświadczonemu na drogach życia wędrowca, ale należy się tu rodzicom owym przestroga jedna... Trzeba zawołać na nich słowami apostoła:—Nie gaście ducha... Dajcie mu rozwijać się naturalnie według tych przyrodzonych praw ludzkości, która wiecznie wyciągać będzie ręce w stronę szlachetnych ideałów—nie odbierajcie synom, córkom waszym poezyi. Jest ona nieśmiertelną, jak wola boża, która kazała iskrze jej zatlić się w łonie ludzkości, ale można ją wydrzeć okrutnie z piersi pojedynczych ludzi, których serca i umysły zostaną wtedy oschłe i chłodne. Poezja nie jest to bynajmniej fałszowanie życia przez marzenia niepochwytne, ale zdolność patrzania nań pod takim kątem widzenia, aby ujawniły się oczom strony jego wdzieczne i podniosłe. Dać to młodzieży—zdolność takich poglądów na świat i ludzi, znaczy to ubogacić ją

i wprowadzić między wybranych: między lepszych i szczęśliwszych, bo uczucie poezyi niezawodnie uszczęśliwia i udoskonala. Dlatego-to celu wiał Bóg jej ziarno w pierś ludzką—siłę, która podnosi, ukrzepia, wiedzie człowieka drogą górną i cała ta jego zdolność dążenia ku lepszemu, wyższemu, która tworzy postęp, tu się rodzi. Święte poządanie dobra i piękna, to ona jest... W młodości, zanim człowiek zmęczy się troskami i pracą życia—życia zawodami, bywa ona w nim siłą bujną i w górę strzelającą; należy też pamiętać o tem rodzicom, że to odgradza najmocniej ich starość od młodości ich dzieci, jeżeli wytlili im się w piersiach wszystkie te iskry ognia uczuć, które tworzą życia poezyą—stawiają przed ludzkością cele wzniosłych i śmiałych dążeń. Niech młodość nie spotyka się za ich sprawą ze sceptyzmem—z niewiarą w życia zadanie wyższe, niech nie spotyka się z myślą, przykutą wyłącznie do realnych tylko życia wziątków, do materialnego dobrobytu dążeń jedynie, bo wtedy z żalem, ze smutkiem ciężkim, powie sobie, że ich drogi życia rozejść się muszą, i wtedy-to syn nie przychodzi już czerpać mądrości ze zdroju doświadczenia ojcowskiego, wtedy córka szuka sobie innego typu moralnego, niż przedstawia go matka. Co tu jest skutek tego omyłek, błędów i zawodów... co tu jest nieraz upadków i strat niepowetowanych—obliczyć się nie da. Musi tak być przecież, skoro tylko młodość niedoświadczona raz sobie powie z żalem, smutkiem ciężkim, że drogi życia przeszłości rozejść się muszą z przyszłością, bo tamte ciasne są i wąskie, do żadnego wyższego celu niewiodące.

Straconego zaufania do rodziców nie młodzieży wynagrodzić nie może i przepada wtedy dla jej życia, dla formowania się jej charakteru to oddziaływanie rodziny, które przez względy, łączące się tu z uczuciem, ma znaczenie tak wielkie, że je w życiu do najważniejszych zaliczyć trzeba. Człowiek chłodnego serca staje się łatwo egoistą.—Kochaj bliźniego twojego!.. to przykazanie stanowiące kit społecznego życia ludzkości, a zdolność kochania, jak niemal wszystko w człowieku rozwija się w nim i wyrabia najpierw u ogniska rodzinnego i ta obietnica ewangeliczna:—Kto ma dość, otrzyma więcej jeszcze... tu się odnosi. Jedno szczere, prawdziwe uczucie, ogrzewając serce czyni je zdolnym do wszystkich innych jego wzruszeń gorących, i o takim to stanie psychologicznym myślał poeta, pisząc:—Kto zdolny czuć w sobie porządne kochanie, albo już jest cnotliwym, albo się nim stanie... stanie się zdolnym do wzruszeń serca gorących, do ofiarności, do tkiwych na bliźniego swego względów. Aby przecież cnota nie zamieniła się w wodę, aby nie było to owem ewangelicznym „rzucaniem pereł...“ trzeba nam posiadać tę ubezpieczającą władzę, która się zowie powagą umysłu. Umysł lekki daje się unosić, jak lekkość wszelka, lada podmuchowi, działa też, niepod siłą uczuć, myśli, ale wrażeń, i do zasadniczych przymiotów człowieka należy powaga umysłu. Młodość, najszlachetniejsza właśnie, bo zdolna do uczuć, wzruszeń żywych, do polotów myśli i pragnień idealnych, najłatwiej wpaść może w lekkość umysłową i wychowanie pracować nad tem powinno, aby ta siła, zdolna być motorem najszlachetniejszych czynów, nie stała się wadą i trzeba ją tak ująć przez wychowanie, jak mechanika ujęła i zużytkowała nieuchwytne niby moce natury: powietrze, ogień, wodę, czyniąc je służebnikami człowieka w silnem woli jego ujęciu. Trzeba nastęrczyć młodości praktykę owych cnot wzniosłych, które przedstawiłyby się jej umysłowi w takich blaskach i kolorach żywych, że zapaliłaby się do nich, jak do piękności górnych szlaków życia, ale w sposób, któryby wymagał pewnego poświęcenia, czy pracy, czy przyjemności osobistych, i nie kończył się z ulotną chwilą wzruszenia serca, lub uniesienia wyobraźni. Niech, na przykład, możność dania jałmużny ograniczy pewne jego przyjemności, niech szlachetny poryw uczucia pociągnie za sobą następstwa, czy pracy i trudu, czy odmówienia sobie jakiegoś używania, a nawet niekiedy należy powstrzymać na chwilę pierwszy rzut chęci najlepszej nawet, pilnując tylko, aby była wykonaną następnie, gdy

działać będzie, nie wrażenie, ale uczucie — uczucie prawdziwe, z głębi serca idące. Wrażliwość na cierpienia ludzkie jest niewątpliwie objawem natury dobrej — jest już cnoty początkiem, bo wypływa ze źródła wrzeszeń litośnych, ale cnota rzeczywista staje się wtedy dopiero, gdy trwa, choć wrażenie pierwsze minęło, bo działają wtedy, nie zmysły, nie wyobraźnia, ale uczucie, źródło głębsze i bogatsze w pierwiastki uszlachetniające człowieka.

Zapałność, wrażliwość wyobraźni jest, zwłaszcza przy słabym, miękkim charakterze, bardzo niebezpiecznym darem natury, bo przeciwstawia się nieraz wytrwałości, jaką posiada zawsze uczucie, gdy jest głębokie i szlachetne; ale niech wychowanie nie gardzi i tem obdarowaniem człowieka, bo źródło to pomocnicze w dążeniu do celów dobra i piękna duchowego — rozpędowe jego moce. Nikt i nigdy nie ma nadto sił, potrzeba tylko, aby moralna dynamika nasza zorganizowała prawidłowe, harmonijne ich działanie i wychowanie powinno tu dopomóc przyszłości. Młodzieży z bujną, lotną wyobraźnią należy zadawać prace niedające się zbyć krótko i łatwo, prace przecież z celem takim, do którego młode uczucie, młoda wyobraźnia może zapalać zajęciem gorącego interesu, a wtedy wszystkie szlachetne moce serca i umysłu złożą się na to, aby zdobyć sobie wytrwałość, aby nie ustać w połowie drogi. Tak i temu podobnie, przez siłę uczucia, przez dumę uczciwą, przez podniesione wysoko znaczenie obowiązku można i należy prowadzić młodzież do celów wytkniętych, a zadanie to tak szkoły, jak rodziny — ojca, matki i gdy wakacje pozwalają tej młodzieży wrócić do ognisk domowych, niech tkliwość uczuć rodzicielskich objawi się w najszlachetniejszej tej postaci swojej, która jest miłością duchowej istoty ich dziecka. Taka miłość nigdy nie psuje, choćby była najsilniejszą, taka miłość nigdy nie rozmiękcza ani tego, kto kocha, ani tej istoty, która jest kochaną. Henryk Martin, w zbiorze pięknych listów swoich woła, na jedną z matek francuzkich: „Ne nous amollissons pas!..“ Jest to piękne wzniosłe słowo rady i przestrogi; należy je zapamiętać każdej matce, której syn powraca na wakacje pod dach rodzinnego domu. Kochajcie dzieci swoje najtkliwiej, najgoręcej i nie ukrywajcie tego przed niemi, bo to jest święte i uświęcające uczucie taka miłość ojcowska, macierzyńska, której wspomnienie idzie w życie za młodzieńcem i nieraz jest tarczą przeciw niejednej złej namiętności, zaporą przeciwko niejednemu wybrykowi lekkomyślnych uniesień. Kochajcie, ale niech miłość wasza nie będzie w was tą słabością, która w następstwie słabość sieje i powtórzmy za szlachetnym mędrcom francuzkim: „Ne nous amollissons pas...“

M. I.

GARBUSKA.

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dalszy ciąg).

X.

Tak więc serce Anielci musiało się teraz rozdzielić na dwie części, a właściwie na trzy, bo rodzice i Józia, jakkolwiek żyli zdaleka od niej i wzywali ją do siebie tylko kiedy im była potrzebna, gdy które w domu zasłało, i trzeba było po nocach czuwać, lekarstwo dawać, albo pomódz co naprawić lub uszyć, jednak garbuska interesowała się bardzo losami swej rodziny i każdą jej boleść i radość żywo brała do serca. Kiedy na przykład, wracając wieczorem do domu widzia-

ła w mieszkaniu siostry okna oświecone a przed domem powozów dużo, to przypatrywała się temu z wielkim zadowoleniem, i wróciwszy do domu nie mogła naopowiadać się Francuzce, jakie to wielkie państwo bywa u jej siostry, ile tam służby wygalonowanej kręciło się w bramie, w sieni, przy pojazdach, jaki wspaniały zyrandol widziała z ulicy przez okna, oświetlony nieprzeliczonem mnóstwem świec, jakie to torty i ciasta i kremy nieśli tam chłopcy z cukierni w białych fartuchach. Cieszyło ją to, że siostra żyje tak po pańsku, że tyle osób bywa, że ją tak przyjmują i adorują w wielkim świecie.

Kiedy ją widziała czasem jadącą powozem, ubraną w jasne suknie, lśniącą od atlasów, koronek, piór strusich i kwiatów, stawała na ulicy i patrzyła za błyszczącym powozem, dopóki jej nie znikł na zakręcie ulicy. Dumną się czuła wtedy poczciwina, że mogła sobie w duszy powiedzieć, iż ta piękna, elegancka dama, tak ślicznie wyglądająca na tle białego pluszowego obicia powozu, jest jej siostrą. To jej wystarczało do szczęścia.

Gdy się dowiedziała, że Józia spodziewa się za parę miesięcy zostać matką, wzięła się odrazu z całym zamiłowaniem do szycia wyprawy dla mającego przyjść na świat boba, a że w dzień mało miała czasu, więc nocami siadywała, robiąc na gwałt sztydelkiem powijaki, obrabiając pieluszki, haftując sliniaczki.

— Ono tam, wiem dobrze — mówiła do Francuzki — będzie miało królewską wyprawę, puchy, koronki, jedwabie, jak zwyczajnie u wielkiego państwa, ale ciotki roboty będą praktyczniejsze, i przydadzą się, bo takie macieństwo wiele potrzebuje: niechże więc i od ciotki ma co nieco, na co ją stać.

I rzeczywiście przydały się bardzo, bo nie wiadomo czy z przesądu, czy przez zapomnienie, nic nie przygotowano, podarunek więc Anielci był bardzo pożądany, i ona sama także — do pielęgnowania siostry w nocy, gdy matka przy niej czuwać nie miała siły, i do nadzoru nad mamką i dzieckiem. Podjęła się tego z ochotą, ucieszona, że na coś przeciw siostrze przydać się może, żywy udział brała przy kąpieniu maleństwa, przewijaniu, bawieniu, chodziła razem z mamką na spacer, ile razy czas na to miała, i okazała tyle zręczności i troskliwości w pielęgnowaniu dziecka, że gdy na drugi rok Bozia dała znowu córeczkę, powierzono ją już bez namysłu, z całym zaufaniem opiece garbuski. Siostra chciała nawet, żeby się całkiem do niej przeniosła, i przeznaczyła jej maleńki pokoik między garderobą i dziecinym, ale garbuska nie przyjęła tej łaski, nie tylko może ze względu na Francuzkę, żeby jej nie zostawiać samą, ale i przez jakiś punkt honoru, że chciała być panią na swoich śmieciach, jak mówiła, i mieć własny kącik. Przepędzała nieraz noce całe przy dzieciach siostry, gdy tego było potrzeba, ale na stałe przeprowadzić się tam nie chciała.

Tak więc wśród najróżnorodniejszych zajęć upływało życie poczciwej garbuski. Pracowała od rana do wieczora, więcej dla drugich, niż dla siebie, nie mając czasu myśleć o sobie, swoich wygodach i potrzebach, i być może, iż to właśnie podtrzymywało jej wątłe zdrowie, dodawało siły, czyniło ją szczęśliwą. Głębokie przekonanie, że jest potrzebną tylu osobom, było rodzajem budzika, który ją poruszał i ożywiał, dawało pogodę umysłu, czerstwe zdrowie. Nie myśląc o swoim własnym szczęściu, czuła się szczęśliwą szczęściem tych wszystkich i tego wszystkiego, co kochała. A że się tak szczęśliwie złożyło, że jakoś wszyscy jej najbliżsi byli zdrowi i szczęśliwi, więc i ona była zadowolona. Brat ją tylko trochę zaniepokoił. Pisał do nich z Meranu, dokąd jak donosił, wysłali go lekarze, wskutek czego musiał porzucić na czas jakiś posadę dyrektora, na której wcale nieźle mu się wiodło, i wyjechać na kurację. Garbuska zmartwiła się nie mało tą chorobą brata, niemało napłakała się i namodliła po nocach, i widocznie Pan Bóg wysłuchał jej próśb gorących, bo ostatni list był o wiele pomyślniejszy. Donosił w nim, że jest mu znacznie lepiej, że lekarze obiecują, iż za kilka

tygodni będzie mógł znowu wrócić do swoich zatrudnień.

Tak więc, po chwilowem zachmurzeniu, horyzont jej rodzinny znowu się wyjaśnił. Józia po przebyciu dwóch słabości wróciła teraz znowu do gwałtownego wesołego życia, jakie przedtem prowadziła, zostawiając dzieci na opiece bony i siostry, a szwagier, który, o ile zauważyła, trzymał się jakiś czas zdala od jej rodziców, teraz zbliżył się do nich znowu, a nawet z ojcem jej częste i długie miewał narady, bywał u niego każdego dnia prawie, albo zapraszał go do siebie.

Powodem tej zmiany była, jak się Anielcia później dowiedziała, polityka — wybory. Szwagrowi zachciało się gwałtem być posłem, nietylko dla zadostyczynienia swojej ambicji, ale i dla interesów swoich, które przez taki wybór świetnie rozwinąć się i powiększyć podobno miały. Szło mu więc bardzo o szczęśliwy wynik wyborów, co zależało głównie od poparcia mieszczaństwa, a że Łatkiewicz, jako sam niegdyś rzemieślnik, miał liczne znajomości w tej sferze, więc zięć chciał go użyć za łącznik i najlepszą drogę do zbliżenia się do mieszczaństwa i zyskania tam popularności. Trzeba więc było podnawiać dawne stosunki znajomości i zbliżyć się do tych, od których się już był zupełnie usunął. Przychodziło mu to z trudem, bo mieszczenie jeżem mu się stawiali, obrażeni w ambicji swojej, i Łatkiewicz musiał znieść od nich niejedną gorzką przymówkę, niejedną złośliwą docinek. Ale znosił to wszystko przez wzgląd na zięcia, dla jego karyery. Chwilowski jako adwokat i poseł miał daleko sięgające plany, myślał o przeniesieniu się całkowitem do Wiednia, o prowadzeniu tam cancellaryi, która przy rozgałęzionych szeroko stosunkach, mogła mu tam przynosić miliony, nie licząc operacji giełdowych, które tam także na wielką dałyby się prowadzić skalę. Rozigrana takimi nadziejami imaginacya ukazywała mu w perspektywie tekę ministeryalną, albo przynajmniej dyrektorstwo jakiego banku. Łatkiewicz, słuchając go, rósł w dumę, że będzie się mógł nazywać teściem ministra, excellencyi. Dla takiej karyery warto było popracować i znieść niejedno.

To też, choć pierwsze kroki szły mu ciężko, choć w piwiarni, gdzie się zbierali dawni jego znajomi, spotykał teraz same niechętnie twarze, sztydery spojrzenia, nie zważał na to, znosił wszystko cierpliwie, mając nadzieję, że przecież z czasem złamie ich upór i achodzi ich, a wiedząc, że czapką i papką najprędzej ujmują się ludzi, był dla wszystkich grzeczny, układowy, każdemu jakieś dobre słóweczko szepnął, którem go wziął za serce, fundował kolacyjki, a często i do siebie zapraszał.

Nie robił tego z własnego pomysłu: miał na to zamało sprytu, taktu; była to nauka zięcia, który, jak zręczny reżyser, przygotowywał wszystko, kładł mu w uszy, jak ma postępować, co robić, co mówić. Łatkiewicz był tylko wykonawcą, aktorem wyuczonej roli.

Po miesiącu takiej zręcznej polityki udało mu się, nietylko wejść w dawne stosunki, ale i poawiązywać nowe. Ludzie tej sfery mają miękkie serca, lada czem ująć ich można, a Łatkiewicz nie żałował dobrych słówek i traktamentu. Co kilka dni urządził u siebie jakieś przyjęcia pod różnemi pozorami, to z okazji imienin, to urodzin wnuczki, to jakiejs uroczystości publicznej, a przyjęcia były coraz sutsze i wspanialsze.

Na jednym z nich pokazał się zięć, niby przypadkiem. Łatkiewicz przedstawił go zgromadzonym u siebie mieszczaństwu. Wtedy zaczął się akt drugi, t. j. że Chwilowski teraz już na swoje ręce zaczął sobie kaptować tych ludzi, a miał pod tym względem talent nieposledni. Wiedział co komu powiedzieć, aby go schwycić za serce, pochlebić słabościom jego, bo już wcześniej poinformował się co do każdego z nich u teścia, a szczególnie o tych, na których mu najwięcej zależało, którzy rej prowadzili w mieszczaństwie i mieli swadę. W czasie uczyt pił zdrowie jednego, drugiego, a w końcu, wznosząc toast: „kochajmy się“, w gorących słowach wypowiedział swój affekt dla mieszczaństwa, swoje dla niego sympatye od lat najmłodszych, i wyraził życzenie, że jedynem marzeniem jego jest pozyskać so-

bie u nich sympatya taką, jaką cieszy się jego teść, że czułyby się niezmiernie szczęśliwym, gdyby „skromny domek jego“ raczyli zaszczyścić tak licznym zebraniem, jakie tu widzi.

Było to formalne zaproszenie, które poparł jeszcze, prosząc każdego z osobna, ściskając ich kordyalnie za ręce, a nawet całując się z niektórymi z dubeltówki.

Rozumie się, że zaproszenie przyjęto z wielką gotowością, mieszczanie czuli się dumnymi i uszczęśliwionymi honorem, jaki ich spotkał; każdy z nich nie omyślał na kilka dni przedtem pochwalić się, gdzie tylko można było, że będzie na wieczorze u Chwilowskiego. Stawili się wszyscy, żaden z nich nie skrewił, to też tłumno było, aż czarno w jasnych, połączanych, wspaniałych salonach Chwilowskiego, które jemu podobało się nazwać skromnym domkiem.

— Piękna mi skromność — mówili mieszczanie, potracając się łokciami i pokazując sobie ozdobne kandelabry, atlasowe meble, stoły i krzesła wykładane perłową masą — mieszka sobie, panie, jak król; taki adwokat, to rozumiem.

Rozsiadali się na aksamitach, oceniali, jako znawcy, wartość mebli, wszystkiego się dotykali, podziwiali, ostrożnie posuwając się po woskowanej, ślizkiej posadzce. Najwięcej jednak zachwycił ich sam gospodarz, który, uwijając się wśród nich z uprzejmym uśmiechem na twarzy, z każdym się ścisnął za rękę, każdemu jakieś grzeczne słówko powiedział, czasem dowcipnym żartem rozweselił, do śmiechu pobudził, a gdy trafił na grono politykujących, zatrzymywał się, przysłuchiwał z udaną powagą, rzucając od czasu do czasu frazesy jak rakiety, któremi olśniewał, roztaczał w dłuższym przemówieniu swoje poglądy na potrzebę podniesienia rzemiosł, powiększenia liczby posłów z miast — słowem: poruszał te sprawy, które były właśnie najgorętszymi postulatami mieszczanstwa, przedstawiając się im jako gorący rzecznik ich interesów. Tu odsłonił im się znowu z poważnej strony, jako mąż stanu i polityk.

Mieszczanie słów nie mieli na pochwały gospodarza. Świetna kolacja podbiła ich do reszty: wina i drogich cygar nie żalowano. To też wszyscy byli w złotych humorach, wznoszono co chwila jego zdrowie, odwzajemniając się za toasty, które on podnosił na cześć swoich łaskawych gości. Mało brakowało, a byłiby go na rękach nosili; powstrzymał ich tylko wzgląd na przyzwoitość, że to może „nie wypada“.

Rozchodzili się w najlepszym usposobieniu dla gospodarza, oddani mu ciałem i duszą; niejedni byłby się dał porąbać za niego, byli i tacy, którzy przyrzekli sobie nie oddawać spraw sądowych żadnemu innemu adwokatowi, tylko jemu.

Tym jednym występem zdobył ich sobie odrazu wszystkich. I byłoby wszystko dobrze poszło, wybór jego na posła możnaby było uważać prawie za pewny, gdyby w ten zbiorowy entuzjazm nie był ktoś rzucił małego ziarenka podejrzenia, że ta cała serdeczność i gościnność jest komedią, dla zyskania sobie głosów mieszczanek. To ziarenko jedno zakwasiło wszystkich i otrzeźwiło ich z zachwytem dla Chwilowskiego i wrogo nawet względem niego usposobiło. Nie mogli mu darować, że ich tak podstępnie chciał chwycić za serca i powieść jak baranów za sobą.

— Chciał złapać starych wróbla na plewy, ale mu się to nie udało — mówili jedni.

— Lizał się i nadszakał nam, bośmy mu byli potrzebni, a potem-by nas nie znał.

— Tak jak przedtem nie chciał znać nas, on i jego szanowny teść.

— Niedoczekanie ich, jeżeli nas tam zobaczą — odgrażali się niektórzy.

I rzeczywiście, na drugi wieczór, gdzie już miano zagrać w odkryte karty, bo Chwilowski zaprosił ich wyraźnie na „małe polityczne zebranie“, celem omówienia kwestyi wyborów, wielu nie poszło.

— Wyszło sztydło z worka — mówili. — Teraz wiemy już, o co mu chodziło.

Byli jednak inni, którzy, czy przez dyplomacją, czy ze odmówić nie mieli odwagi, lub też pachniała im wódmienita kuchnia i piwnica Chwilowskiego, poszli na zebranie, słuchali, potakiwali,

ale w duszy myśleli co innego, drwiąc sobie skrycie z daremnych zabiegów gospodarza. Przyrzekli niby napół, że będą za nim głosować, ale, gdy przyszło do wyborów, pokazało się, że z tej wielkiej liczby mieszczan, na których Chwilowski liczył napewno, zaledwo kilkunastu oddało mu swoje głosy.

Taki mały skutek, przy tak wielkich usiłowaniach i zachodach, okrył go tylko śmiesznością i zachwiał bardzo jego stanowisko w mieście.

Z tego powodu zapewne, zaraz w parę dni po wyborach wyjechał, nie powiedziawszy nikomu, nawet własnej żonie, gdzie jedzie i po co.

(Dalszy ciąg nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

XCIV.

Miłość wszystko może (Korneliusz Voss), komedia w 4-ach aktach *Fr. Schönthana*, tłumaczona z niemieckiego — po raz pierwszy w Teatrze w Ogródzie Saskim, d. 15-go Lipca.

Gdyby autor oryginalny napisał sztukę tak dziwną, której rodzaju nawet określić nie podobna — miałby się dopiero zpyszna od krytyki. A gdyby jeszcze w tej sztuce dziwniej tak mało było rzeczy zajmujących, jak w komedii *Corneliusa Vossa Schönthana* — niezawodnie nazwanoby i ją samą i jej autora nudnym, i pogrzanoby twórcę wraz z jego utworem w jednej trumnie lekceważenia. Ale, szczęściem dla autora dziwactwa przedstawionego w przeszłą środę, jest on Niemcem, przychodzi do nas już jako znany układacz panującego dziś rodzaju fars i figlików przeróżnych, z akompaniamentem i bez akompaniamentu melodyi — i dla tego krytyka obeszła się z nim względnie: nasadziła na nos okopcone okulary, i kolosalne głupstwa wyciągała delikatnymi tylko szczypekami. Imponował jej i rozgłos owego *Vossa* w Niemczech, i nazwisko farsiarza, któremu ani wprawy, ani dowcipu odmówić nie można. Wprawy tej dowiódł on i w nowej swojej sztuce: dowcipu rozpylił kilkanaście kropli dla orzeźwienia atmosfery, w której widzów, nawet wytrzymalszych na nudy, senność ogarniać już zaczynała.

Równie niedorzecznej przygody dawnośmy już nie widzieli na scenie. Ni to pies, ni bies; ni powaga ni żart. Jedno z drugim zwikłane, skłębione tak, że sam autor nie mógł w żaden sposób wierzyć w możliwość wydarzenia się w życiu takiego dziwactwa, jakie obmyślił w swej sztuce. Racząc widza niedorzecznością, wychodził *Schönthan* z domniemania, że widz w teatrze rzeka się chętnie rozum, aby się tylko uśmieć i zabawić, a choćby tylko i ziewnąć inną niż zwykłą metodą. Tem tylko wytłumaczyć sobie można cały pomysł przygody udramatyzowanej w *Vossie*.

Rzecz dzieje się w Dreźnie w salonie baronowej Henryki Feldheim, rzetelnie odgrywanej w sztuce jedynie tylko rolę właścicielki apartamentu. Na tem polega jedyny rozsądny i niesfałszowany jej tytuł do występowania w komedii; co znajdujemy więcej nad to, jest wyrobem podrobionym. W salonie ukrywa się przed pogonią swego krewnego, Ernesta Leopolda księcia na Falkenburgu rezydującego gdzieś na prowincyi księżę Kurst-Schöninggen-Klausthal, od wielu lat wolno - praktykujący sowizdrzał, który przed dwoma laty w charakterze i pod nazwiskiem malarza Korneliusza Vossa, na jakiejś wycieczce romantycznej poznał był hrabiankę Pernwald, córkę radcy gabinetowego przy owym niewidzialnym i dopiero w IV akcie ukazującym się księciu Ernestcie. Potentat ten postanowił był wydać zupełnie już niewidzialną dla nas księżniczkę Matyldę — za kogóżby, jeśli nie za sowiz-

drzała? a ten znowu bardzo naturalnie ucieka przed małżeństwem, powtarzając sobie zwykły dwuwiersz letkiewiczów: „Wolność swą nad wszystko cenię, i nigdy się nie ożenię“. Do ściągania zbiega wydelegował ks. Ernest — radcę gabinetowego Pernwalda, który w gabinecie nie wiele miał rzeczy do radzenia i mógł z korzyścią dla państwa czas swój na pościęgi matrymonialne poświęcić.

W salonie p. Feldheimowej spotyka się młody książę z Pauliną, poznaną na owej letniej wycieczce. Klamka zapadła: musi być znowu malarzem Vosse, nietylko dla niej ale i dla jej ojca użytego do pogoni. Hrabia szuka tego, co ma ciągle pod ręką, ale szuka tak, że nigdy znaleźć by nie mógł, gdyby nawet chciał nas tylko widokiem swym zabawić. Sowizdrzał księżę Schöninggen nie umiając nawet trzymać pędzla w ręku, maluje portret Pauliny. Wyręcza go rzeczywiście malarz Voss, malarz od siedmiu boleści, bo portret okazuje się bohomasem, malowanym jarmarcznie i bez żadnego podobieństwa. Stary radzca szuka ciągle, zarozumiały w swym wielkim kunszcie dyplomatycznym i imponujący swemu sekretarzowi, a rzeczywiście głupi i wstrętny niedołęga, zagrzęzły w długi, i mimo starości oddany jeszcze wesolemu życiu. W tem usposobieniu ma jedną dobrą scenę, w której razem ze ściągany przez siebie księciem-sowizdrzałem, nucąc piosnkę o hrabi Luxemburga, ramię w ramię obaj wychodzą na miasto, aby się we dwójkę zabawić...

Gdy tak Pernwald goni Schöningena, kręcąc się naokoło niego, — bez humoru jednak, który się sam tu napraszał — młodość robi swoje: Schöninggen zakochał się w Paulinie pod opiekuneczmi skrzydłami hrabiny, ażeby zaś wszystko dobrze skończyć się mogło, tymczasem i w owej niewidzialnej rezydencji księżęcej zmieniają się stosunki psychiczne i wysnuwane z nich zamysły: Matylda, odtrącana przez letkiewicza-kuzyna, lgnie do starszego księcia, pragnącego ją wydać za sowizdrzała. Wiadomość o tem wprowadza niby zmianę w taktykę śledczą starego Pernwalda, ale zmianę niedołężnie przez autora przeprowadzoną. Podstarzały już książę z niewidzialnej rezydencji, zniecierpliwiony bezskutecznością poszukiwań, na czwarty akt zjeżdża już osobiście do Drezn — do owego dobroczynnego apartamentu baronowej Feldheim, spotyka tu Paulinę, a ta wyjednałszy sobie łaskę dla narzeczonego już Schöningena, sprowadza go przed oblicze księżęce. Z wysokości majestatu swego księżę przebacza, daje błogosławieństwo i sam zagrzany gorącym słowem hrabianki, że chociaż nie-młody już wiekiem, nie jest przecież jeszcze tak stary sercem, aby nie mógł znaleźć szczęścia w małżeństwie — księżę Ernest w piątym akcie, od którego jednak autor uchronił widza, bierze niezawodnie ślub z Matyldą.

Jeżeli do tego wątku wydarzeń dodamy jeszcze trzecie wesele pomiędzy baronową a niejakim Arnooldem Bakers'em, figurą komiczną i absolutnie najoryginalniejszą pomyslaną i najlepiej przeprowadzoną w sztuce — będziemy mieli już wszystko, co się dzieje w *Miłości*. Ten Bakers w utworze Schönthana, jako processie wypadkowo-psychologicznym, nie gra nawet roli konia na przyprzążkę, a skłonność serc pomiędzy nim a baronową wytłumaczyć się daje tylko licencją autorską, która w całej tej komedii rozpanoszyła się jakby w cyrkowej jakiej sarabandzie. Z takich wypadków, charakterów i stosunków, jakich użył Schönthan do napisania swej sztuki, można było urządzić tylko zupełnie wesołą, dla letnich teatryków, farsę. Chcąc zaś utworzyć komedią, to jest coś, w prawdziwość czego wierzyć mamy, autor, przy największych nawet wysiłkach, musiał zrobić rzecz kulawą, w tylu miejscach i w taki sposób zlepianą, że nie wiadomo, do jakiego ją rodzaju zaliczyć? Mniejsza o to, że krytyk nie znajdzie w mózgu swoim komórki, do którejby ją wrzucił: ale widz, przyjmujący wrażenia żywą siłą bezpośredniego odczuwania — nie ma dla wrażeń swoich żadnego panującego tonu: ani się uśmieł z głupstwa, ani zajął obrazem obyczajów; nie wie na czem był i jaki nerw w sobie zaspokoił.

Wystawienie takiej sztuki, która nie ma właściwego sobie, ani wysokiego ani niskiego, ani szlachetnego ani nieszlachetnego, żadnego zgoła własnego syntetycznego tonu — nie jest łatwym dla reżyserji. Mnie się zdaje, że na scenie warszawskiej wzięto *Miłość* zapowaznie, grano ją z powolnie. Sama niedorzeczność budowy w sztuce pozwalała już obejść się z nią, jako z farsą: poważnej komedji nikt nie mógł w taki sposób obmyśleć, z takiej plecionki przygód jej zsyć. Prawda, że miłość już zupełnie poważną, ale powadze roboty dramatycznej nie sprecyzowała się bynajmniej lekka swoboda, a przynajmniej wesołość charakterów: mogą się przecież kochać istoty wesołe. Sam autor zaznaczył w kilku miejscach nastroj spobodnej uczuciowości w obu postaciach młodych: p. Ładnowski i jako reżyser — on-to bowiem wystawiał sztukę podczas nieobecności p. Kotarbińskiego, który w interesie dramatu i komedji wyjeżdżał zagranicę — i jako aktor, powinien był z tego skorzystać. Jego książkę *Schöningen* ciążył na sztuce. Zato *Bäkers* p. Szymanowskiego popychał sztukę, zjednywał jej chwilowe zajęcia i nietylko w pomysłach dramatycznym, ale i w wykonaniu, był najlepszym ze wszystkich. P. Czaki nadspodziewanie dobrze, bez nawiąskowości nienawistnej, ale ze śmiałością i werwą — a w IV-ym akcie z uczuciem duszy zdrowej i niezasklepiającej się w sobie i szczęściu swoim, prowadziła rozmowę ze starym kawalerem, czy też młodym wdowcem, ks. Ernestem. P. Rapacki dyplomatem z guttaperki, ukazywanego już sto razy na scenie przed *Schönhanem* i jakby stworzonego dla operetki — odegrał, jak mógł tak poważny artysta w tak niepoważnej roli. P. Marcello z baronowej *Feldheim*, pomimo najlepszych chęci, nie zrobić nie mogła. Jestto najmarniejsza postać komedji — czyży tylko znak, gdzie powinna być istota żywa. Takim samym znakiem jest ks. Ernest-Leopold (p. Leszczyński). Bardzo dobrym w maleńkiej przygodnej roli *Engelberta*, sekretarza radcy gabinetowego, był p. *Frenkiel*. Humor jego wysłowienia udzielał się publiczności silniej, niż dowcip autora, włożony w usta *Engelbertowi*.

Stanisław Krzemiński.

Kronika działalności kobiecej.

— Według dzienników petersburskich stała komisja, zajmująca się kwestją wykształcenia technicznego podniosła myśl opracowania ustawy normalnej dla zawodowych szkół kobiecych.

— W mieście naszym mają powstać kursa domowego gospodarstwa kobiety, prowadzone przez p. p. Łaniewską Zofię i Sękowską Karolinę. Program obejmuje: naukę gotowania, porządków domowych, prania i prasowania bielizny, przygotowywania konserwów owocowych, rachunkowość praktyczną, towaroznawstwo a dodatkowo dla osób zamierzających prowadzić gospodarstwo wiejskie: mleczarstwo, hodowla drobiu i nierogacizny, pszczelnictwo, jedwanictwo i ogrodnictwo. Dla powiększenia dochodu urządzoną będzie wzorowa restauracja. P. Lucyna Cwierciakiewicz ma być zaproszoną na wizytatorkę zakładu, który jeżeli wejdzie w życie i będzie prowadzony do brze, stać się może bardzo pożytecznym, zwłaszcza kształcąc gospodynie, umiejące wyreżać panią domu, lub jej dopomagać, gdyż gospodyn tego rodzaju jest brak właśnie. Gospodynie takie zajęły-by z wielkim dla siebie pożytkiem miejsce tak zwanych panien bawiących, kuzynek ubogich, istot najniezwyklejszych pod słońcem, bo pracujących bez oznaczenia obowiązków swoich i wynagrodzenia za pracę podejmowaną. Zabytek to tych czasów, gdy klasy pewne wstydyły się pracy na zarobek; dziś, przy zmianie pojęć, które wstydyć się każą próżniactwa tylko, takie wykwalifikowane gospodynie odpowiadałyby w zakresie pracy kobiecej temu, co w gospodarstwie

mężkiem przedstawiają rządcy, ekonomowie, wytworząc bardzo pożyteczny dział pracy kobiecej. Najkrótszy kurs nauki, zwany skróconym będzie trwał trzy miesiące, po pięć godzin nauki dziennie; kurs obejmujący działów więcej trwać ma sześć miesięcy. Zapłata od 10 do 15 rs. miesięcznie z uwzględnieniem osób niezamożnych. Gdyby restauracja dla kobiet tylko, dla kobiet nie posiadających rodziny, jakich jest wiele, prowadzoną była niewytwornie, skromnie i tylko porządnie, czysto, więc stosunkowo tanio, byłby to zakład wielce pożyteczny i przypuścić można, że miałby powodzenie.

— Czteroklasowa szkoła p. Maryi Raum zaprowadza od początku roku szkolnego klasy dodatkowe dla nauki rysunku, rękodziel, prowadzenia ksiąg handlowych i gospodarstwa domowego.

— Julianna Czajkowska, zupełnie uboga mieszkanka Piotrkowa, znalazła list zastawny, i nie chcąc ani korzystać z cudzej własności, ani żądać za czyn uczciwej jakiegokolwiek nagrody, złożyła go w redakcyi „Tygodnika“, z kąd odebrał go zawiadomiony przez ogłoszenie właściciel.

— W Pradze zawiązało się stowarzyszenie z celem wyższego wykształcenia kobiet. Na planie pierwszym stoi pedagogika, historia i literatura czeska, dalej następuje higiena i gospodarstwo domowe na podstawie dobrze zrozumianej ekonomii i towaroznawstwa.

— Dyrektorka oddziału dziewcząt we lwowskim zakładzie ociemniałych, otrzymała złoty krzyż zasługi.

— Ida Böhme, zmarła w Wiedniu wdowa po jubilerze, o której śmierci i zapisach na cele dobroczynne donosiło pismo nasze w poprzedniej *Kronice*, objaśnia w testamencie swoim przyczyny które kierowały w tem jej ostatnią wolą, iż przeznaczyła niemal całe mienie swoje ubogim. Rodzina jej biedną nie jest, może żyć wygodnie bez jej spadku, gdy tymczasem to, co przeznaczona na cele miłosierdzia i pomoce naukowe, uszczęśliwi wielu ludzi spracowanych, a młodym otworzy drogę pracy i uczciwego, użytecznego istnienia. Na same ochrony i szkoły rzemiosł zapisała 50.000 zł. reń.

— Jubileuszowa uroczystość założenia uniwersytetu zurychskiego łączyła się z rozpisaniem konkursu naukowego, na którym pierwszą nagrodę wzięła Ludwika Miller, Niemka, studentka medycyny.

— Francuzka siostra miłosierdzia reguły Ś-go Dominika spełniła bohaterski czyn miłości bliźniego. W lecznicy, mieszczącej się na przedmieściu Paryża przy ulicy Villiers, a noszącej nazwę „Pomocy nieustającej“, gdyż otwarta w dzień i noc, przyjmuje bez wyjątku każdego, kto uległ jakiemuś nieszczęśliwemu przypadkowi i potrzebuje pomocy lekarskiej, znajdowała się mała dziewczynka, ciężko oparzona. Wskutek oparzeń wytworzyła się głęboka, bolesna rana powyżej łokcia, zagnijająca się tak, że dla ocalenia życia dziecka postanowiono odjęcie ręki. Można by było uniknąć tego, lecz tylko w takim razie, gdyby ktoś zdrow i młody dał sobie wyciąć płac ciała, który przyłożony na ranę zapełnił-by ją i zrosnął się z nią następnie. Matka dziecięcia była przecież ubogą, nie znajdowała się nawet przy jego łóżku, i lekarze zadecydowali amputacją, gdy oto przytomna temu siostra miłosierdzia — siostra Cecylia, ofiarowała się spełnić poświęcenie, i dokonała go pod świętą siłą miłości bliźniego. W nagrodę szlachetnie mężnego czynu ofiarowano jej przy tegorocznem rozdawnictwie krzyżów legii honorowej tą oznakę czci publicznej, lecz odmówiła przyjęcia, tłumacząc się, że uczyniła to dla miłości Boga i bliźniego, zatem nie należy jej się żadna nagroda.

— Między 27-ma obrazami drugiego zakupu dzieł sztuki, dokonanego przez komitet Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych z celem rozlosowania ich między członków Towarzystwa, znajduje się: „Zima“ Zofii Stankiewiczówny i „Główka“ Maryi Dulembianki. Nabywców znalazły dwie prace kobiece: „Cyganek“, pastel Stefani Cygalówny, nabył hr. de Vassal Mont, „Typ Wiejski“ Zofii Stankiewiczówny, D-r Konstanty Karwowski. Na wystawę Tow. Sztuk

Pięknych przybyło dzieł pędzla kobiecego 7-me: Emilii Dukszyńskiej, Otylii Kraszewskiej, Zofii Stankiewiczowej, Bronisławy Poświkowej. Do salonu Krywulta nadesłały prac cztery pp. Marya Genelówna i Bronisława Łukomska.

— Przełożona nad szpitalem kobiecym w Pau, M-me Desclau de Latine, otrzymała krzyż legii honorowej, za szlachetne poświęcenie się dla najuboższych i najniezwyklejszych, niemających nad sobą opieki rodziny w czasie choroby.

— Dwie młode Norwegianki z miejscowości nadmorskiej Stordäen, siostry rodzone: Augusta i Anna Weber, otrzymały złote medale za uratowanie życia dwóch ludzi od śmierci przez zatonięcie. Znajdowały się one na strażniczej wieży latarni morskiej w Lerrik, i ujrzawszy walczących z falami wzburzonego morza, pośpieszyły w małej łodzi na ich ratunek. Medale za uratowanie tonących posiadają obecnie w Norwegii cztery kobiety.

— Wiek dojrzałości do małżeństwa kobiet szwedzkich i norweskich, był dotychczas oznaczony na skończonych lat piętnaście. Otóż na ostatniem zebraniu parlamentu szwedzkiego postawiono wniosek, że zawieranie tak młodo ślubów małżeńskich jest rzeczą szkodliwą z wielu względów. Kobieta jest w tym wieku dzieckiem jeszcze, idzie głównie za wolą rodziców i w tym najważniejszym akcie jej życia nie decyduje sama, bo w wieku tak młodym jeszcze tego czynić nie może. Wniosek postawiony żądał skończonych lat osmnastu, przyjęto jednak ostatecznie wiek skończonych lat siedmnastu.

— Lina Morgenstern, zacna filantropka i założycielka tanich kuchni w Berlinie, święciła dwudziestopięcioletnie tego dobrego czynu, którego rocznicę jubileuszową pamiętali ludzie i składano jej powinszowania, oraz wyrazy dziękczynnego uznania. Pierwszą była tu młoda cesarzowa, która przysłała telegramem wyrazy uznania swego.

— Na dorocznym, dwudziesto-dziewiątym zebraniu nauczycieli niemieckich rozbiegano obok przedmiotów innych, kwestją kształcenia dziewcząt ze względem na ich życie w rodzinie i pracę domową.

— M-me Arnold Sobier zapisała Akademii Francuzkiej 24.000 franków na doroczne premia, które byłyby przyznawane autorom dwóch najlepszych książek do czytania dla młodzieży, i 12.000 franków na tensam cel po śmierci dożywotnego jej successora. M-me Hudouin, wdowa po lekarzu paryskim, zapisała Towarzystwu Lekarskiemu w Paryżu: „Association des Médecins de la Seine“ 16.000 fr., M-me Hugier, także wdowa po lekarzu 2.000 franków na stypendya dla niezamożnych studentów medycyny. Obie uczyniły to przez wspomnienie ciężkich prób, jakie w młodości przebywali ich mężowie, zdobywając sobie naukę siłą własną. Nagrodę cnoty — nagrodę Montyona, przyznała Akademia Francuzka paniom: M-me de la Bruyère za powieść „Princesse Rosalba“ i Joannie Cazin za powieść: „La Roche Maudite“.

NIE NOWEGO.

NOWELLA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dokończenie).

Milczała długo — a oczy łzami wezbrane błękały się po otaczających ją zbytku przedmiotach.

Praca — powtórzyła cicho — praca... O, tak! Ale czemuż wcześniej nie rzucono mi tego słowa! Tak słabe miałam o tem pojęcie! Otoczenie, w którem wzrosłam, nie znało pracy — tłumaczyła się kornie.

Doktor patrzył na nią zdumiony.

Jestże to tasama dumna i obojętna, zamknięta w sobie istota, jaką znał dotąd?

Utulil jej rękę w gorącym uścisku i uspakajał łagodnie.

Spojrzała nań wreszcie z niewysłowionym wzruszeniem smutku i cierpienia.

On we wzroku tym coś więcej jeszcze wyczytał. Serce jego zadręgało szczęścia uczuciem, ale to trwało chwilę tylko. Pohamował się i, pozornie spokojny, pożegnał Stefanią.

W kilkanaście dni potem elegancki świat poruszony został najmniej spodziewaną wieścią.

Pan X., ów milioner, któremu ogólnie zazdrozczono, tknięty atakiem apoplektycznym, życie zakończył.

Piękna Stefania została wdową, a co ważniejsza, jedyną spadkobierczynią tych ogromnych bogactw.

Znaleziono zupełnie prawomocny zapis, przed ślubem jeszcze zrobiony, kiedy starzec, olśniony wdziękami młodzianki dziewczyny, za posiadanie jej nie wahał się całym majątkiem zapłacić.

Krewni, bliźsi i dalsi, czuli się srodze pokrzywdzonymi.

Jakim prawem ta obca zabiera im to, na co przed ożenieniem się jeszcze starca napewno liczyli?

Karety jaśnie oświeconych i oświeconych zatrzymywały się z kondolencją przed bramą pałacu Stefanii.

Każdy śpieszył okazać swe współczucie bogatej i pięknej wdowie, a iluż-to marzeń była ona już teraz przedmiotem!

Pokoje Stefanii były jednak dla wszystkich zamknięte.

Doktor tylko miał wstęp otwarty, bo młoda kobieta, odurzona tym nagłym ciosem, który najnie spodziewanie dawał jej tak upragnioną wolność, w połączeniu z przykrym nagłej śmierci widokiem, rozstrojona i słaba, troskliwej opieki lekarza potrzebowała.

Doktor, udając się do niej, niejednokrotnie spotykał się z licznym zastępem kuzynów i kuzynek; którzy, jak stado zgłodniałych wilków, czyhających na zdobycz, uwijali się po salonach, z zawzięcią spoglądając dokoła i wymierzając przeciw Stefanii najzjadliwsze zarzuty.

Gdy o słuch jego obil się hańbiący jaki wyraz, bladł i czerwieniał naprzemian. Zdawało mu się, jakby na śnieżno-biały kwiat lili rzucił kto plamę ciemnego błota. Miał jednak jakiś żal do Stefanii. Czuł, że on nigdy nie naraziłby się na to, aby ktoś mógł mu zarzucić, iż z cudzego grosza korzysta.

Pogrzeb odbył się z niesłychaną pompą. Stefania wydała rozporządzenie, aby czerpano z kasy, ilością wydanych pieniędzy bynajmniej się nie kępując.

Posagowo piękna, w tych szatach wdowich, w których wyglądała tak uroczą, jak nigdy nawet w bogatej toalecie balowej, posuwała się za trumną z pochyloną głową, przejęta do głębi majestatem śmierci, onieśmiona jakaś i trwożna.

Wsparta na ramieniu męża Halina szła obok, mierząc niedobrym jakimś wzrokiem tę piękną postać, ku której z troskliwym zajęciem zwracały się oczy jej męża.

— Patrz, jaki to głaz — szeptała — nawet lzy nie uroni, choć ten biedny starzec tak ją uposażył hojnie.

— Bo kłamać nie umie — odpowiedział jej wreszcie doktor, czem do reszty Halinę rozgniewał.

W kilka dni po pogrzebie Stefania wezwała do siebie całą rodzinę zmarłego męża, a wkrótce potem spadała jak piorun wiadomość, że obiecująca wdówka opuściła Warszawę, cały olbrzymi swój majątek rozdzieliwszy pomiędzy krewnych męża.

Temu nikt uwierzyć nie chciał.

Pałac był w oblężeniu; każdy jednak odchodził z potwierdzeniem raz już usłyszanej wieści, zdumiony, przerażony niemal.

Doktor dowiedział się o tem na mieście. Pojechał natychmiast do Stefanii, ale tam lokaj oddał mu tylko bilecik, zawierający pożegnanie.

„Dzięki ci, panie — pisała między innymi — żeś ty pierwszy uczynił mnie taką, jaką dziś jestem. Tyś mi pozwolił odzyskać szacunek dla samej siebie, pamięć twą błogosławić będę.

„Przyjacielu mój jedyny! Odjeżdżam, nie widząc cię, bo pożegnanie rozstroiłoby mnie i odebrało tę siłę ducha, której tak niezbędnie potrzebuję.

„Teraz przedemną praca i pole do walki otwarte. Jeżeli zginę, to zawsze godna tej przyjaźni, jaką mi ofiarowałeś...”

To był właśnie wypieszczony młodości jego ideał. Musiał już powiedzieć to sobie otwarcie, gdy z ciężkiem westchnieniem opuszczał jej pałac, a myśl, że nie zobaczy już pewno nigdy tej szlachetnej kobiety, przejmowała go straszną rozpaczą.

Wrócił do domu blady i rozstrojony.

Halina wpadła na niego z obiegającą już całe miasto nowiną, ledwo mogąc stłumić gniew, jaki ją pożerał.

Wszak to ona pierwsza była jedną z najzacieśniejszych nieprzyjaciółek Stefanii, ona chłostała ją zwykle bez litości.

— Pani Stefania chciała się stać interesującą — mówiła zirytowana — dobre to dla naiwnych, boć każdy rozsądny wie, jak taki excentryczny krok uważać.

Doktor słuchał złośliwej paplaniny żony bez słowa zaprzeczenia. On wiedział, że ta kobieta warta więcej, niż wszystkie inne. Myślał wciąż o tem gdzie jest obecnie, ile czeka ją zawodów i przykrości w tem nowem życiu, jakie sobie obrała.

I upłynął rok, potem drugi i trzeci, niosąc za sobą coraz-to nowe zmiany.

O Stefanii ani słycho. Nikt nie wiedział, gdzie się podziała.

Zapomniano o niej; w pamięci Edmunda żyła jednak zawsze...

Halina z biegiem czasu stawała się coraz kapryśniejszą.

Dwie córeczki, które przybyły towarzyszyć w zabawach Stasiowi, nadwreżyły silnie jej zdrowie.

Delikatna uroda zniknęła szybko, wdzięczna twarzyczka pokryła się zmarszczkami.

Zestarzała się p. doktorowa, a świadomość o tem wpływała bardzo niekorzystnie na jej kapryśny charakter.

Edmund odczuwał to silnie.

Wiecznie zniechęcona i skrzywiona twarz żony sprawiała mu ból i niesmak.

Spokój, którego tak pożądał, opuścił nazawsze jego domowe ognisko.

Bolał nad tem podwójnie — przez wzgląd na dzieci, które kochał bardzo.

Pewnego dnia zaproponował żonie przejażdżkę, a że dzień był gorący, Halina ubrała się lekko, mimo, że mąż nastawał na wzięcie okrywki, która w powrocie do domu przydać się mogła.

— Więc nawet w drobnostkach nie mam swojej woli — wybuchnęła zaraz — tobie nie chodzi o moje zdrowie, tylko chcesz mi dokuczyć na każdym kroku.

Doktor nie odpowiedział, zwrócił się tylko do nadbiegającego lokaja i okrycie do karety odnieść kazał.

Wyrzuciła je ztamtąd jednak kapryśna pani, ale zniechęcony mąż zbył to już milczeniem.

Gdy w kilka godzin później do domu wracali, Halina czuła, jak chłód wieczorny obejmował ją, jak delikatne muśliny przesiąkłe były wilgotną rosą.

W nocy zbudził Edmunda silny, grypowy kaszel żony, a gdy podszedł do łóżka, zastał ją w gorączce, patrzącą na niego nieprzytomnymi oczami.

Zapalenie płuc rozwinęło się gwałtownie.

Ani pomoc najpoważniejszych kolegów Edmunda, ani najusilniejsze jego starania, nie mogły opanować choroby.

Zapalenie minęło, ale przyszły suchoty — częste po niem następstwo — i w sześć tygodni potem Halina żyć przestała.

Doktor uczył tę stratę boleśnie.

Zapomniał kaprysów żony, a pamiętał tylko taką, jaką była przed ślubem: miłą, wdzięczną jego pieszczołką.

Tulił sierotki do zboląłego serca i, o ile tylko zawód jego na to pozwalał, resztę swego czasu im poświęcał.

I znów upłynęło lat kilka...

Myśl o Stefanii nawiedzała go coraz częściej, pragnienie zobaczenia jej niepokoiło go dniem i nocą.

On był wolnym, a ona?...

— Wyszła za mąż... — mówił sobie z goryczą, a myśl ta w głuchej pograżała go rozpacz.

Tymczasem namawiano go, swatano bezustannie, perswadowano, że dla dobra dzieci ożenić się powinien.

On głuchym był na to wszystko.

Maj zbliżał się ku końcowi, gdy doktor nareszcie o wypoczynku pomyślał; zabrał dzieci i zagranicę wyjechał.

Na świecie było wtedy jasno, wesoło.

Ziemia ustroiła się w przepyszną szatę zieleności, liliowe bzy, późno tego roku zakwitłe, zwieszały wonne, ciężkie kiście; różowe stokrotki i białe jaśminy, osypane kwieciami, aż przesycały powietrze balsamiczną wonią.

Zmęczony ciężkiem życiem miejskiem, doktor nasz odżył, temi pięknosciami natury odrodzony. Było mu tak błogo, tak dziwnie błogo, coś, jak nieokreślone szczęścia przecucie obejmowało go pieśczołliwym uściskiem.

Zatrzymali się na kilkodniowy odpoczynek w jednym z większych miast galicyjskich, gdzie brat doktora zajmował stanowisko wysokiego urzędnika.

W parę dni po przyjeździe doktor pragnął dzieciom pokazać osobliwości miasta; wybrali się więc we czworo, ani przeczuwając jak ważną rolę spacer ten w ich życiu odegra.

Zwiedzili już okazalsze ulice i gmachy, gdy najmłodsza, Wandzia, ulubienica ojca, w końcu długiej jakiejś ulicy modre fale rzeki dostrzegła.

— O, tatku! — prosiła błagalnie — Wandzia chce zobaczyć rzekę, patrz, jaka śliczna woda płynie tam niedaleko — mówiła, wskazując rączką, a ojciec, zniewolony jej prośbami, udał się w tamtą stronę.

Minęli wąską ulicę i znaleźli się nad brzegiem pięknej rzeki, szeroką wstęgą przecinającą zielone łąki i uciekającą gdzieś w dal, kędy ciemne lasy otulały ją mchem i paprociami, a od słonecznych promieni koroną swych drzew wyniosłych bronili.

Dzieci stały zachwycone...

— Ładniejsza, niż nasza Wisła w Warszawie — przekonywała Wandzia — w takim zielonym, miękkim płynie łódeczku...

— O tatku, jak tu ślicznie, a ile tu małych panienek się bawi...

Posłała zachwycone oczęta w stronę spuszczonego się ku rzece ogrodu, gdzie kilkanaście rozmaitego wieku dziewczątek grało w piłkę, napelniając powietrze wybuchami zadowolenia i wesołego śmiechu.

Wtem piłka, niezręcznie jakąś rączką rzucona, przeleciała przez sztachety i upadła prawie u małych stópek Wandzi, a wślad za nią przybiegła dziewczynka i, grzecznym dygiem przeprosiwszy doktora, zgubę swoją podjęła.

Rozpromienione oczęta Wandzi spoczęły na niej z wyrazem zazdrości, a dźwięczny głosik zapętał:

— Czy ja nie mogłabym pobawić się z panienkami? Bona mówi, że jestem zawsze grzeczna, nazwijam się Wandzia, a oto mój tatko — dodała z dziecinną dumą, na stojącego obok niej doktora wskazując.

Ojciec roześmiał się szczerze, a mała panienka, do której słowa Wandzi zwrócone były, odrzekła:

— I owszem, prosimy do wspólnej zabawy; nasza pani bardzo lubi dzieci — dodała zaraz — a ogród ładny i obszerny.

Doktor zaczął gawędzić z roztropnem dziewczęciem, które objaśniło go, że dom w gęstwinie

drzew ukryty, mieści w sobie zakład wychowawczy dla dziewcząt pozbawionych opieki matek i szkołę rzemiosł, i że państwo, jeśli chcą, mogą zwiedzić zakład, co przyjezdni do miasta robią dość często.

Doktor pochwylił tę myśl skwapliwie. Był on jednym z tych prawdziwych filantropów, których każda nowa idea dążąca do umoralnienia ludzkości zajmuje żywo.

— Radbym uścisnąć rękę tej szlachetnej kobiety — myślał, słuchając opowiadania dziewczynki o niewyczerpanej dobroci ich opiekunki.

Ujął rączkę Wandzi i, puściwszy przodem Zosię i Stasia, poszedł za małą przewodniczką, która ich w głąb ogrodu zawiodła.

Przed piętrowym budynkiem urządzony był plac zielonej murawy, a na nim rozrzucone gdzieś tam stoliki i ławeczki.

Mnóstwo główek dziecięcych ukazywało się ze wszystkich stron; godzina rekreacji kończyła się, śpieszyli więc z książkami lub robotką zając miejsca zwykle.

Ład i porządek panował wszędzie wzorowy. Widać było, że wszystko obmyślane i wyzyskane tu zostało na korzyść tych drobnych istot, których rumiane twarzyczki jaśniały zadowoleniem i zdrowiem.

— Szczęśliwe miasto — szeptał do siebie doktor — które taki zakład posiada i szczęśliwa musi być ta ziemia, na czele tej gromadki stojąca osoba. Jak ona cieszyć się musi, patrząc na dzieło swoje!

Rozrzucony, posunął się dalej, aż przystanął nagle, jakby nieprzepatą siłą do miejsca przykuty...

Od strony domu zbliżała się wysmukła, czarno ubrana postać, a promień słońca, który przez gęstwinę drzew się przedarł, rzucił na jej głowę jakby iskry złota. Mieniły się też jak złoto ciężkie warkocze, pokrólewsku główkę kobiety strącające. Twarz matowo-biała, bez śladu rumieńca, pogodna była i uśmiechnięta, a szmaragdowe źrenice obejmowały łagodnym, kochającym spojrzeniem tulącą się do niej zewsząd dziatwę.

Rzewny to był obrazek. Ile tam było serdecznego ciepła, ile zobopólnego zadowolenia!

Dzieciom dobrze było z tą dobrą kobietą, która jak matka czuwała nad nimi troskliwie.

Ona znajdowała tu widocznie spokój i zadowolenie głębokie.

Doktor stał i patrzył — któż opisać zdoła co się z nim działo?...

Więc odnalazł ją nareszcie — odnalazł tę ukochaną, za którą tak tęsknił...

Usłyszawszy szelest zbliżających się kroków, młoda kobieta obejrzała się, a wzruszenie, nad którym zapanować nie była zdolną, śmiertelną bladością lica jej pokryło.

Wyciągnęła rękę, jakby oparcia szukać chciała, ale doktor zbliżył się szybko, witając ją niby swobodnie, by dać jej czas uspokoić się nieco.

Zrozumiała natychmiast, że w tej chwili nie do siebie należy. Poprosiła więc gości do altany, a sama zajęła się dziećmi, wyznaczając każdemu miejsce.

Dzieci doktora pozostały też przy niej, nie chcąc się oderwać od nowego dla nich widoku.

Załatwiwszy się z tem wszystkim, udała się do altany, gdzie doktor oczekiwał na nią.

— Co pana sprowadziło tutaj? — pytała, podając mu obie rączki — i gdzie została żona pańska?

Na uszczęśliwioną twarz doktora padł cień smutku.

— Halina od lat kilku nie żyje — rzekł po chwili wahania, a blada twarz Stefani stała się teraz tak bladą, że przerażony doktor zląkł się

śmiertelnie, by nagle wzruszenie nie sprowadziło ataku, jaki z dawnych lat zapamiętał.

— Stefania — rzekł wzruszony — nad wszystko ukochana, jedyna moja Stefania, więc odnalazłem cię nareszcie? Gdybyś ty wiedzieć mogła, jak cierpiałem, jak ciężką była mi walka z własnym sercem za życia Haliny, jak straszna za tobą tęsknota, gdy wolnym zostałem! Najdroższa — szeptał, tuląc coraz goręcej małe, zimne jak lód jej rączki — kocham cię oddawna i choć nie mogłem mówić ci tego, odgadłaś chyba uczucia moje. Czy zechcesz być moją? Czy zechcesz być matką osieroconych dzieci moich?...

Stefania stała przed nim jak odurzona. Czuła, że jakaś wielka szczęśliwość objęła ją całą. Widziała przed sobą ukochanego człowieka, jedynego, jakiego w życiu swem kochała. Podniosła na niego blaskiem szczęścia rozjaśnione oczy, a jemu się zdawało, że w nich odpowiedź wyczytał.

Przycisnął do piersi tę złotowłosą główkę, a usta jego na jej czole spoczęły.

— O jedyna moja, gdybym mógł wyrazić jak jestem szczęśliwym...

Ale ona drgnęła naraz i z uścisku jego się wysunęła. W przesłicznych oczach wyraz niezwalczanego przekonania się odbił.

— Edmundzie — rzekła smutnie, lecz stanowczo — kocham cię od lat kilkunastu. Ty byłeś moim mistrzem, tyś podniósł mnie i uszlachetnił i dlatego, jak teraz zastałeś mnie samotną, taką na życie całe pozostanę. Najdroższy! czyżbyś ty sam chciał oderwać mnie od tej gromadki, dla której matką jestem? To niepodobna. Więc dlatego, że mi osobiste zajaśniało szczęście, miałabym ją poświęcać — kończyła, a głos jej drżał boleścią tłumioną. Tak wyrzekała się ukochanego człowieka dla idei raz podjętego obowiązku.

Miała się to uczynić ta szlachetna, wzniosła kobieta, a jemu serce dumą wezbrało.

— O, ty wybrana, ty najlepsza — szeptał — jabym cię teraz za nic nie odstąpił. Zmęczony już się czuję licznymi obowiązkami mego zawodu, a dla dzieci moich mam też obowiązki pewne. Porzucę praktykę w Warszawie i przeniosę się tutaj, a, idąc śladem mej małżonki, leczyć będę tylko biednych i jej wychowanki.

— Czy żona moja zadowolona będzie ze swego nadwornego lekarza? — pytał z uśmiechem, a ona nie wysuwała się już teraz z jego objęcia, nie brońnię usteczek, barwą blady koral przypominających, na których przyszły jej władca gorący złożył pocałunek...

W szmaragdowych źrenicach szklily się lzy wielkiego i najzupełniej zasłużonego szczęścia.

Z bieżącej chwili.

— Kongres kolejowy, który odbyć się miał w Petersburgu w roku bieżącym, został odłożony roku przyszłego.

— Z Ekaterynburga dostawiono do mennicy petersburskiej 110 pudów złota.

— Kassa Mianowskiego pomocy naukowej dla osób pracujących na polu nauki i literatury liczy członków założycieli 82, członków honorowych 107, członków rzeczywistych, wnoszących roczną składkę 632 rs.

— Wystawa nasion, urządzona staraniem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, otwarta będzie w zimie, w Lutym d. 15-go tegoż miesiąca. Wy-

stawa obejmować będzie obok nasion i wszelkie rośliny gospodarskie, nawozy pomocnicze, wytwory nabiłowe, wytwory przemysłu rolno-fabrycznego. Cudzoziemcy mogą uczestniczyć w wystawie, ale bez prawa do nagrody. Deklaracje na udział w wystawie mogą być nadsyłane do d. 13 Lutego, a tylko te z pośród nich, które potrzebują być przedstawione tylko w stanie świeżości, przyjmowane będą do d. 14 Lutego włącznie. Miejsce na ustawienie okazów wyznacza Komitet wystawy bezpłatnie, ale kosztta urzędowania i przyozdobienia należą do wystawców. Pożądaniem-by było, aby wystawcy w dziale nasion i nawozów składali (obok deklaracji) świadectwa pracowni chemicznej Muzeum stacyi oceny nasion Muzeum, lub stacyi doświadczalnej w Sobieszynie co do czystości i innych zalet okazów. Dla ułatwienia kupna i sprzedaży nasion ustanowione będzie w kancelaryi Muzeum biuro sprzedaży i kupna.

— Wystawa przedmiotów przywiezionych z Brazylii przez wychodźców ma być otworzoną w mieście naszym.

— Redaktor *Zdrowia*, D-r Polak, wydelegowany został przez miasto nasze na międzynarodowy kongres higieniczny w Londynie. Kongres odbędzie się w Sierpniu.

— Na wystawę do Pragi wyjechało z Łodzi grono mężczyzn na koszt wspólny.

— Zjazd lekarzy i przyrodników w Krakowie obrał na prezesów honorowych pp. Adryana Baranieckiego, D-ra Józefa Meyera, D-ra Ignacego Baranowskiego z Warszawy i D-ra Reymana, delegata Akademii Czeskiej. Na prezesów rzeczywistych wybrano: D-ra Sokołowskiego z Warszawy, D-ra Zygmunta Laskowskiego z Genewy. Vice-prezesami honorowymi zostali: D-r Maresz, delegat wydziału lekarskiego z Pragi, D-r Święcicki z Poznania, vice-prezesami rzeczywistymi są: D-r Merunowicz ze Lwowa i D-r Dickstein z Warszawy; sekretarzami professor Zacharewicz i D-r J. Puzyna ze Lwowa. Uniwersytet genewski reprezentuje D-r Laskowski, Akademię Nauk w Pradze: prof. D-r Reyman i prof. D-r Chodounsky, Towarzystwo lekarskie w Czechach: D-r Maresz, D-r Obrzut, D-r Haskovec, D-r Frankenberg i D-r Kimel. Warszaw. Tow. Lekarskie reprezentują: D-r Sokołowski, D-r Kosiński i D-r Dunin, redakcją „Wszecchwiaty“ p. Diehl i Dickstein. Wśród zapowiedzianych odczytów będzie i wykład D-ra Dybrowskiego ze Lwowa. Na sędziów wyznaczeni między innymi prof. Kosiński, pp. Dickstein i Polak z Warszawy. Wydział Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu przedstawiać będzie D-r Szymański.

Sprostowanie.

W Nr. 29 „Bluszczu“ w powieści *Garbuska* na kolumnie 228, w łamie drugim wierszu piątym od końca czytać potrzeba zamiast „najrozmaitszemi“ „najuroczystsze“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 18-ty i 19-ty powieści pod tytułem: *Cicha kobieta*, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka. — Wakacje, przez M I. (dokończenie). — *Garbuska*. Powieść, przez Michała Bałuckiego (dalszy ciąg). — *Przegląd Teatralny*, przez Stanisława Krzemińskiego. — *Kronika działalności kobiecej*. — *Nic nowego*, (Nowella) przez Wandę Grot-Bęczkowską (dokończenie). — *Z bieżącej chwili*.

Dodatek obejmuje: Arkusz 18-ty i 19-ty powieści, pod tytułem: *Cicha kobieta*, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — *Przegląd mód*. — 35 wzorów ubiorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycya stołu*.

PRZEGLĄD MÓD.

Stanki na gorset, turniury zarzucone zupełnie. — Pantofelki. — Pończochy. — Batystowe suknie. — Kwiaty. — Modne „menu“ obiadowe na weselnym ucztach.

Moda wszędzie, wszędzie kładzie swoje veto; otóż nie tylko chce mieć suknie modne, ale każdą rzecz naszej toalety podług swych danych. I tak: pod stanki sukien konieczne są stanki cieniutkie perkalowe, wycięte jak gorset, chroniące ten ostatni od zabrudzenia i nadające pewną gładkość stankowi sukni a więcej jeszcze broniące, aby fiszbin gorsetu wyglądając przez szparę, nie przetrwał materiału sukni. Francuzki mają zwyczaj noszenia takich stanków, co należy w ogóle do bardzo dobrych przyzwyczajzeń. Dalej, co do niewidocznej części ubrania dodajemy, że żadne, choćby najmniejsze poduszki pod suknią, czyli żadne turniury nie mają już zupełnie miejsca, pokrótce one stan, co przy dzisiejszych długich zakietkach nie jest bardzo ładne. O bieliznie pomówimy przy Żyrardowskim składzie, dziś śpieszno nam powiedzieć, że zamiast używanych od kilkunastu lat pantofelków, noszą się na ulicę znowu buciki kozłowe lub prunelowe, co kto lubi—pantofelki tylko w salonie. Pończochy czarne stanowią zwyciężyły wszelkie kolorowe i słusznie, bo rzadko które po praniu zachowują świeżość koloru, nie podobna je prać w zimnej wodzie, w żółci nie tracą koloru, ale przez mieszanie rozmaitych kolorów razem, kolory zatracają swą właściwość. Czarne, prane same w żółci z mydłem, mają zawsze glans, a nawet straciwszy czarność przez noszenie nabierają je w żółci. Zawsze a zawsze powtarzamy, że fabryka pończoch pp. Weysenhoff, róg Wareckiej i Nowego-Swiatu produkuje innym wyrobom i że pończochy z „fil de perse“ już nie z „fil d'ecosse“ bez szwu z podwójną piętą należą do najtrwałszych i najlepszych u nas. Na letnie dnię gorącego lata, widzieliśmy u pana Włodkowskiego na Czystej ulicy nowość suknie batystowe, kremowe, haftowane, z pod których widniała plisowana batystowa falbana kolorowa, naprzykład „fraise“, „heliotrop“ granatowa i t. p., haft wpałdał zębami na plisowaną spódnicę. Oprócz tego dokazywano nam „krep“ koloru Edison popielatego w stalowy rzucik, zupełnie coś nowego, inny popielato-perłowy w haftowane drobne pastylki, inne znowu w rzucik w kwiatki, bo kwiaty są tak modne w tym roku, że nawet „menu“ obiadowe, ozdabiane tak długo charakterystycznymi winetami, wypisują obecnie wśród splotów i wiązanek kwiatów, a na uroczystościach weselnym kładą je przed nowożeńcami, przedstawiające mirtowy wianek, związany białą szarfą.

L. C.

Suknia z jedwabnego materiału haftowanego i w deseń.

Rycina Nr 1.

Suknia z krepowanego jedwabnego materiału popielatego w różowe grochy i gładkiego materiału haftowanego różowym kolorem, składa się z lekkopowłóczystej spódnicy i wierzchniej sukni formą „princesse.“ Spódnica z gładkiego różowego kanausu, pokryta z przodu haftowanym materiałem. Wierzchnia część z materiału w grochy otwiera się z przodu tak na staniku, jak i na spódnicy, w pasie zaś schodzi się i spięta jest klamrą. Tył zmarszczony jest kilka centim. niżej wcięcia. Rękawy w górze bufiaste, w dole wąskie, objęte haftem.

Suknia z materiału prążkowanego.

Rycina Nr 2.

Suknia z prążkowanego materiału koloru piaskowego, ubrana takąż taśmą przerabianą złotem. Spódnica alpagowa 215 cent. obwodu mająca, u dołu obszyta listwą z materiału. Wierzchnia spódnica z przodu lekko podpięta, ozdobiona guzikami oraz taśmą. Długi stanik ubrany takimiż przyborami, kołnierzyk i napierśnik pokryty haftem.



Nr 1. Suknia z materiału haftowanego i w deseń.

Nr 2. Suknia z prążkowanego materiału.

Koronka do bielizny. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 3.

Koronka wykonana krętą bawełną Nr 50 jak następuje: 1 kolej: † 18 pow. oczek, ostatnie 11 połączyć 1 ścis. ocz. w kółko, 16 ścis. ocz. w kółko, 10 pow. ocz., połączyć je w kółko, 8 ścis. ocz. w pierwszą połowę kółka, 10 pow. ocz., połączyć z 9 z 16 ścis. ocz., 18 ścis. oczek w poprzednie 10 pow. ocz., 8 ścis. ocz. w 2-gą połowę kółka, 1 ścis. ocz. w oczko, w którym 1 ścis. ocz. wykonane było, 2 ścis. ocz. w 8 i 7 z pierwszych 18 pow. ocz., od † powtórzyć; lecz między środkowymi z 18 ścis. ocz. należy dla utworzenia łuku 10 pow. ocz. wykonać; połączyć z 9 z poprzednich 18 ścis. ocz. w 10 pow. ocz. wykonać; znowu powtórzyć od początku tej kolei, lecz przy każdym powtórzeniu należy 8 z 16 ścis. ocz. połączyć z 1 z 8 ścis. ocz., które w 2 połowie kółka wykonane były.—2 kolej: Na dolnych łukach poprzedniej kolei z powrotem ciągle 10 słupków a pomiędzy każdym 1 pow. oczek w 1, 3, 5, 7, 9, 10, 11, 13, 15 17 z 18 ścisłych oczek najbliższego łuku.—3 kolej: Na oczkach poprzedniej kolei z powrotem; * 1 ścis. ocz. w oczko zastępujące po najbliższym słupku, 8 razy naprzemian: 3 pow. oczka, 1 ścisłe oczko w następne pow. ocz., od * powtórzyć.—4 kolej: Z drugiej strony koronki, ciągle naprzemian: 1 słupek w najbliższe oczko, 2 pow. oczka, 2 oczka opuścić.

Koronka do bielizny. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 4.

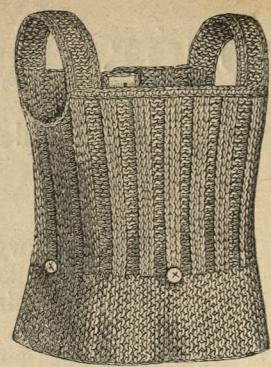
Wykonać koronkę krętą bawełną Nr 50 jak następuje: 1 kolej: 8 pow. ocz., poczwórny słupek w 1 z 8 pow. ocz., † pikot (8 pow. ocz. i 1 ścis. ocz.), 8 pow. ocz., 1 poczwórny słupek w 1 z 8 pow. ocz., 8 pow. ocz., 1 ścis. łańcuskowe oczko w to samo oczko, w którym poprzedni pikot wykonany został, od † dwa razy powtórzyć, lecz powtarzając po raz pierwszy, należy po poczwórnym słupku jeszcze 1 łuk z 11 pow. ocz. wykonać, i z przedostatnim słupkiem połączyć 3 ścis. ocz. 10 półsłupków, między 1 i 2, 5 i 6, 9 i 10 po jednym pikocie (7 pow. ocz. 1 ścis. łańc. ocz.), 3 ścis. ocz. w poprzed. 11 pow. ocz., 1 ścis. łańc. oczko w ostatni poczwórny słupek, 1 pikot na wzór pierwszego, 1 ścis. łańc. ocz. w 1 poczwórny słupek, 8 pow. ocz., 1 ścis. łańc. ocz. w oczko, w którym 1 poczwórny słupek został wykonany, 11 pow. ocz., połączyć z ostatnim poczwórnym słup., od * powtórzyć, lecz przy każdym powtórzeniu należy 2 z poczwórnych słupków z 3 słupków poprzedniej gwiazdki połączyć.—2 kolej: Z prostej strony poprzedniej kolei 1 ścis. ocz. w każde oczko.—3 kolej: Naprzemian 1 sł. w 2 z rzędu ocz., 1 pow. oczko.

Gorset dla panienki od 9—11 lat (robota szydełkowa).

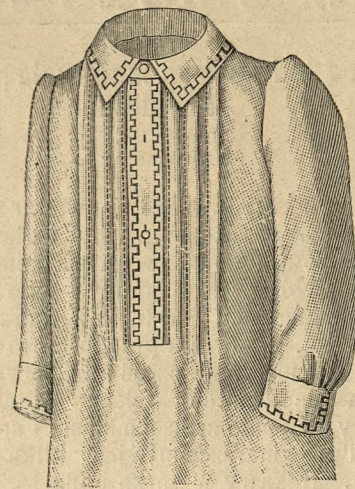
Rycina Nr 5.

Gorset wykonany bawełną Estremadura Nr 4, ścisłymi oczkami na pod-

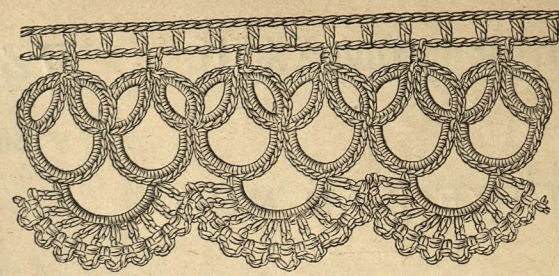
stawie z grubego białego sznurka. Zszyć od tyłu od lewego dolnego brzegu na założeniu 134 oczek tam i z powrotem: — 1 kolej: Sznurek założyć i obrabiając takowy, ciągle 1 ścis. ocz. w każde oczko założenia. — 2 kolej: Odwrócić sznurek tak, aby utworzyć петельkę i ciągle 1 ścis. o. w najbliższe oczko, obrabiając sznurek. — 3 kolej: Wykonać małą петельkę ze sznurka, 5 ścis. oczek w najbliższe ocz. obrabiając sznurek; następnie na dziurki do sznurka 16 razy naprzemian: 4 ścisłe oczka w najbliższe 4 oczka, obejmując sznurek, 4 ścis. oczka tylko wokół sznurka, 4 najbliższe oczka opuścić, 3 ścisłe oczka w najbliższe 3 ocz. i przybierając, 2 ścisłe oczka w ostatnie oczka obrabiając razem sznurek. Aż do środka przodu należy od 4 do 61 kolej na wzór 2 wykonywać, lecz należy nadawać formę, przybierając, gubić, tworzyć rzędy dodatkowe. W górnym brzegu wykonać kolej z 44 oczek między 11 i 12 kolej, 1 kolej z 48 oczek między 51 i 52 kolej, i takąż samą z 43 oczek, między 53 i 54 kolej, następnie w dolnym brzegu, 1 kolej dodatkowa z 40 oczek między 12 i 13 kolej, 1 kolej z 43 oczek między 20 i 21 kolej, jedną z 45 oczek między 28 i 29 kolej, jedną z 48 oczek między 36 i 37 kolej, wreszcie jedną z 52 oczek między 42 i 43 kolej. Każdą z tych dodatkowych rzędów składa się z 2 kolei tam i napowrót. W pierwszej z nich należy sznurek obrobić i utworzyć z niego петельkę, w powrotnej zaś odwrócić sznurek bez utworzenia петельki. Aby utworzyć pachę, należy w końcu 21 kolei po stronie górnej gorsetu ostatnie 28 oczek pozostawić, przytem ostatnie 6 z tejże kolei, oraz pierwsze i ostatnie 6 każdej następnej kolei, aż do 42 kolei włącznie, przerabiać bez sznurka. — 23 i 25 kolej należy skrócić o 2 oczka, a w 39 i 41 po dwa oczka przybrać. — W 43 kolei po wykonaniu ostatnich oczek, należy jeszcze 28 oczek w około sznurka przerobić. Oprócz tego w dolnym brzegu od 32 do 60 kolei, łącznie z dodatkowymi rzędami, w końcu każdej drugiej kolei należy przybrać oczko a od 44 kolei 11 razy w górnym brzegu po 1 oczku opuścić. Drugą połowę gorsetu wykonać jak pierwszą, porządek kolei idzie odwrotnie t. j. od środka przodu. Górny i dolny brzeg gorsetu obrobić rzędem ścisłych oczek jak następuje: 3 ścis. oczka w każdą петельkę ze sznurka, w narożne петельki po 6 ścis. oczek, przy obwodzie pachy po 1 ścis. ocz. w każdym oczku. Na ramionach przyszyć taśmę na szelki, a w pasie guziki do przypinania spódniczki.



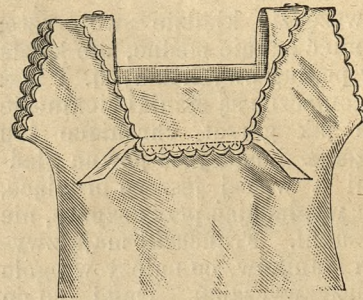
Nr 10. Gorsetik dla panienki od 4—6 lat (robota drutowa).



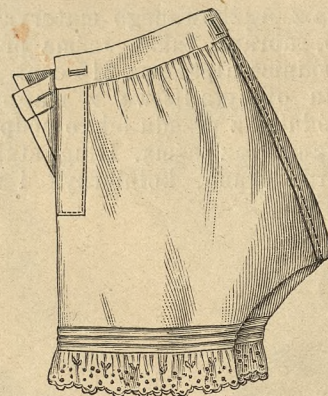
Nr 8. Nocna koszula dla panienki od 14—16 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 46—52). Opis w Bl. Nr 29.



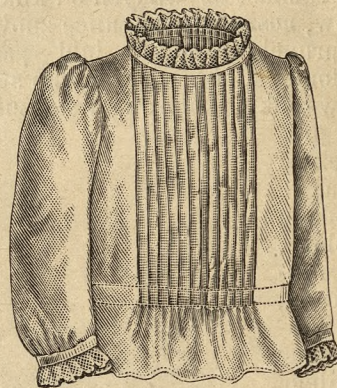
Nr 3. Koronka do bielizny (robota szydełkowa).



Nr 6. Koszulka dla panienki od 3—5 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 73). Opis w Bl. Nr 29.



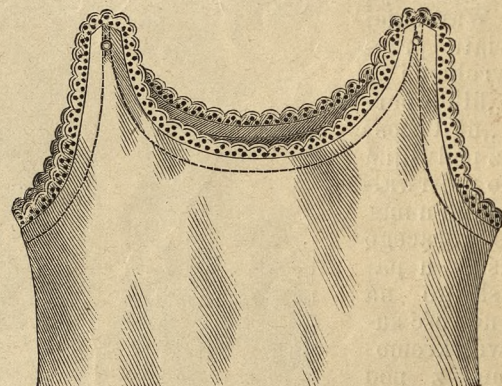
Nr 14. Majtki dla panienki od 2—4 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 72).



Nr 12. Bluzka dla panienki od 5—7 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 29—31).



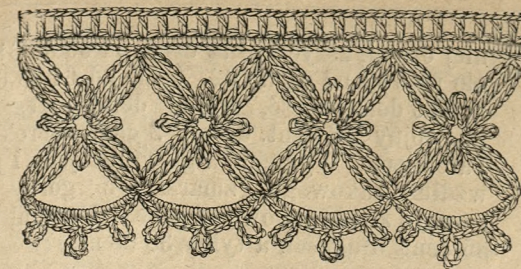
Nr 16. Spódniczka dla panienki od 7—9 lat (robota drutowa).



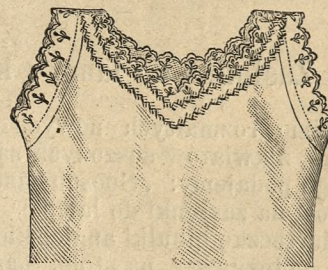
Nr 19. Koszulka dla panienki od 14—16 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36).



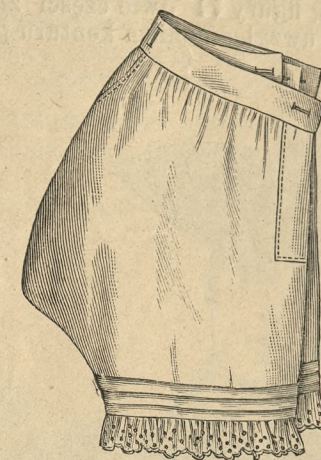
Nr 11. Staniczek dla panienki od 5—7 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 32—35).



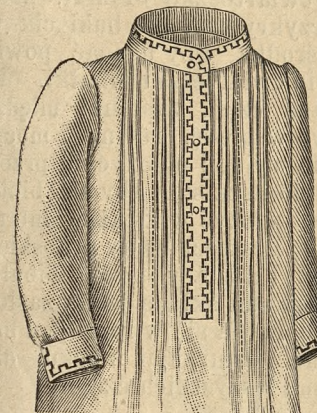
Nr 4. Koronka do bielizny (robota szydełkowa).



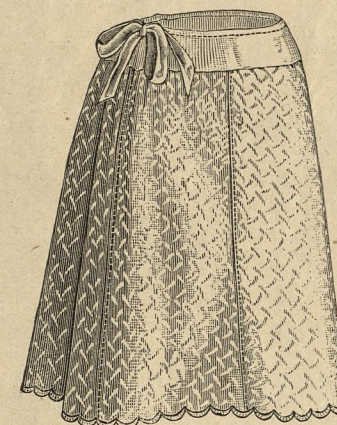
Nr 7. Koszulka dla panienki od 2—4 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 69—70). Opis w Bl. Nr 29.



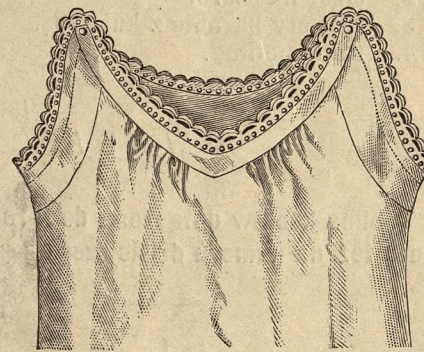
Nr 15. Majtki dla panienki od 5—7 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 37).



Nr 13. Nocna koszula dla panienki od 6—7 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 53—58).



Nr 17. Spódniczka dla panienki od 9—11 lat. (Opis odwr. strona tabl.).



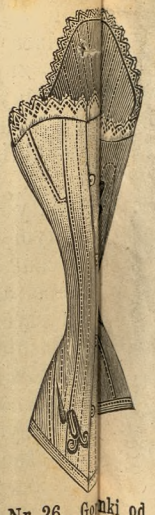
Nr 20. Koszulka dla panienki od 7—9 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 65—68).



Nr 21. Majtki dla 7—9 lat. (Krój odwr. str. tabl. fig. 71).



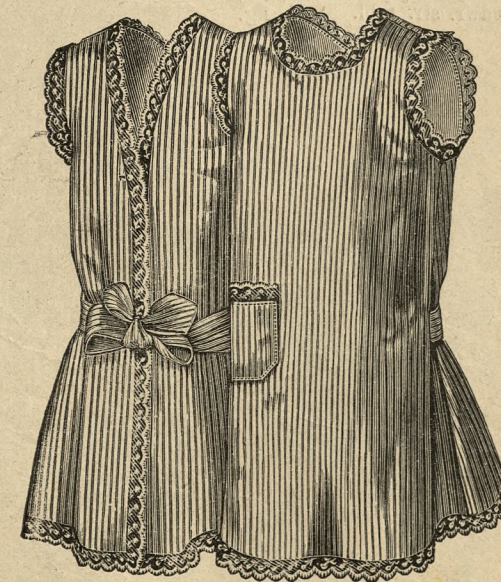
Nr 29. Fartuszek z jedwabnego materiału.



Nr 26. Guziki od 14—16 lat. (Opis odwr. str. tabl. fig. 80).



Nr 30 i 31. Bluzka z batysty (Opis odwr. str. tabl.).



Nr 24 i 25. Fartuszek dla chłopczyka od 6—8 lat. (Krój odwr. strona tablicy Nr XIV, fig. 63 i 64).

Koszulka dla panienki od 3—5 lat.

Rycina Nr 6. (Krój odwr. str. tablicy Nr XIX, fig. 73).



Nr 11. Staniczek dla panienki od 5—7 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr V, fig. 32—35).

Skrajać według figury 73 jedną część złożoną wzdłuż obu linii oznaczających środek, zszyć je od 68 do 69, wykonać nacięcia. Wyłożyć materiał wzdłuż linii, otoczyć dzierzganymi ząbkami jak na wzorze. Dolną część wyługu podszyc listewką, przez którą przewleka się taśmę do ściągania. Wyłogi na ramieniu należy zaopatrzyć w dziurki, koszulkę zaś w miejscach oznaczonych odpowiednimi do dziurek guzikami.

Nocna koszula dla panienki od 14—16 lat.

Rycina Nr 8. (Krój odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 46a—52).

Skrajać z szyfonu podług fig. 46a, 47—50 po jednej, według fig. 51 i 52 po dwie części, każdą złożoną wzdłuż środka, należy jednak stany koszuli w kierunku strzałek podłużyć stosownie do potrzeby. (Wzór podany ma 108 cent. długości a 200 cent. obwodu). Fig. 48—50 i 52 skrajać podwójnie, rękawy z uwzględnieniem konturu spodu rękawa. Wykonać nacięcia w przodach koszuli, nacięcia to zaopatrzyć z każdej strony podkładem, wykonać wzdłuż nacięcia zakładki między liniami, oraz wykrój szyi w przodach podług fig. 46b, pozszywać strony koszuli, zmarszczyć górny brzeg pleców między gwiazdkami, zszyć je w podwójnie skrajany karczek, połączyć kołnierzyk z paskiem, a następnie ten ostatni z koszulą od 20 do 21. Zmarszczyć rękawy w dole między *, wszyć mankiety, zszyć rękawy od 23 do 24, i wszyć je do koszuli, trafiając liczbę 23 na odpowiednią liczbę rękawa.

Gorset dla panienki od 4—6 lat (robota drutowa).

Rycina Nr 10.

Gorsetik z białej włóczki robotą drutową. Obrobić w około szydełkiem prócz doinego brzegu. Wykonać najpierw zwyczajnym ścięciem szlak dolny na założeniu 25 oczek 358 kolei, w 6-jej kolei należy na każdą dziurkę przed pierwszemi 5-ma i przed ostatniemi 5-ma oczkami, 5 oczek odłączyć a w następnej kolei w tem samym miejscu owe 5 oczek przybrać. Skończywszy 358, odłącza je się, następnie



Nr 27. Suknia z bengaliny i koronki (do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 29). Opis odwr. str. tabl.



Nr 22 i 23. Fartuszek dla panienki od 10 do 12 lat. (Krój odwr. str. tablicy Nr XIII, fig. 59—62).



Nr 28. Okrycie z koronki. (Opis odwrotna strona tablicy).

z 179 brzeźnych o. przybrać takąż liczbę o. wykonać tam i napowrót z wyjątkiem pierwszych i ostatnich 10 o., które w każdej kolei należy wykonać wprost, ścieg. wskazanym na wzorze ciągle naprzemian 3 oczka wprost, 3 odwrotnie, aż do 78 kolei; z boku po stronie, gdzie w dole dziurka była wykonana, należy w 7 kolei i co każde 12 rzędów należy 5 oczek zgubić a następnie przybrać, aby utworzyć dziurki do zapinania.—Od 40 kolei należy, aby wyrobić pachy, należy gorsecik rozdzielić i wykonać w 3 częściach oddzielnie. Doszedłszy do górnego brzegu, odczepić oczka oprócz 14 oczek na plecach przy obwodzie pachy, na których należy wykonać 56 kolei wprost, następnie i te się odczepia i łączy z odpowiednimi oczkami ramienia przodu. Obrobiwszy gorsecik ścisłemi łańcusz. oczkami, należy dziurki obrobić dla wzmocnienia niemi, przyszyć z drugiej strony guziki podszywając je taśmą z lewej strony.

Nocna koszula dla panienki od 5—7 lat.

Rycina Nr 13. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 53—58).

Koszulkę z madapolamu ozdobioną ponsowo-haftowanym szlaczkiem, skrajając podług fig. 53a, 54—56 po jednej, podług fig. 57 i 58 po dwie części; każdą złożoną wzdłuż środka; fig. 53a i 54 należy przydłużyć stosownie do potrzeby w kierunku strzałek (mniej więcej w 65 cen. długości), fig. 55, 56 i 58 skrajając podwójnie, a rękawy z uwzględnieniem konturu spodu. Wykonać w przodach nacięcia oraz podkłady czyli obręby, jak również 6 małych zakładek między liniami i wykroić szyi. Połączyć strony koszuli, zmarszczyć górny brzeg od * do *, wszyć w podwójny karczek, połączyć z kołnierzykiem. Zmarszczyć rękawy od * do * przyszyć mankiety, wykonać szwy rękawa od 35 do 36 i wszyć je do koszuli.

Majtki dla panienki od 2—4 lat.

Rycina Nr 14. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII, fig. 72).

Skrajając według figury 72 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniej części. Wykonać u dołu kilka zakładek, na które należy materiału dodać krając, ozdobić hafcikiem, zszyć majtki od 64 do 65, przód od 65 do 66, tył od 65 do 67. Wykonać nacięcia, podkłady, zmarszczyć w górze z przodu od nacięcia do *, z tyłu przez całą długość, i wszyć w pasek, którego przednia połowa powinna mieć 30, tylna 33 cent. dług.

Fartuszek dla panienki od 5—8 lat.

Rycina Nr 18. (Krój pierw. str. tablicy Nr VIII, fig. 38).

Skrajając z kremowej satynki według fig. 38 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu przedniego górnego brzegu i ramienia, przedłużając figurę stosownie do potrzeby. Nasz wzór ma 41 centim. dług. z przodu. Zszyć części od 84—85, obszyć dolny brzeg wstawką. Zmarszczyć fartuszek w górze z tyłu między dwukropkiem, z przodu od * do * na 15 centim., przedni brzeg między liniami 5 razy na 19 cent., przyszyć z każdej strony przy zmarszczeniu szarfki do wiązania, zaopatrzyć na ramionach

w dziurki i guziki i ozdobić je haftem jak na rycinie.

Koszula dla panienki od 7—9 lat.

Rycina Nr 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr XV, fig. 65—68).

Skrajając z płótna lub perkalu podług figury 65 z uwzględnieniem konturu przedniej połowy, dwie części złożone wzdłuż środka, przydłużając je w kierunku strzałek. (Nasz wzór ma 65 cent. dług. a 152 cent. obwodu dolnego) podług fig. 67 i 68 po dwie części złożone wzdłuż środka a podług fig. 66 cztery części. Połączyć boki stanu koszuli, następnie rękawy od 50 do 52 i wszyć je do pachy koszuli, zmarszczyć górny brzeg takowej od * do *, wszyć w podwójnie skrajany karczek i ozdobić karczek i rękawy hafcikiem, koszulka ta zapina się na ramieniu.

Majtki dla panienki od 7—9 lat.

Rycina Nr 21. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 71).

Skrajając według figury 71 dwie części złożone wzdłuż środka, z uwzględnieniem konturu przed-



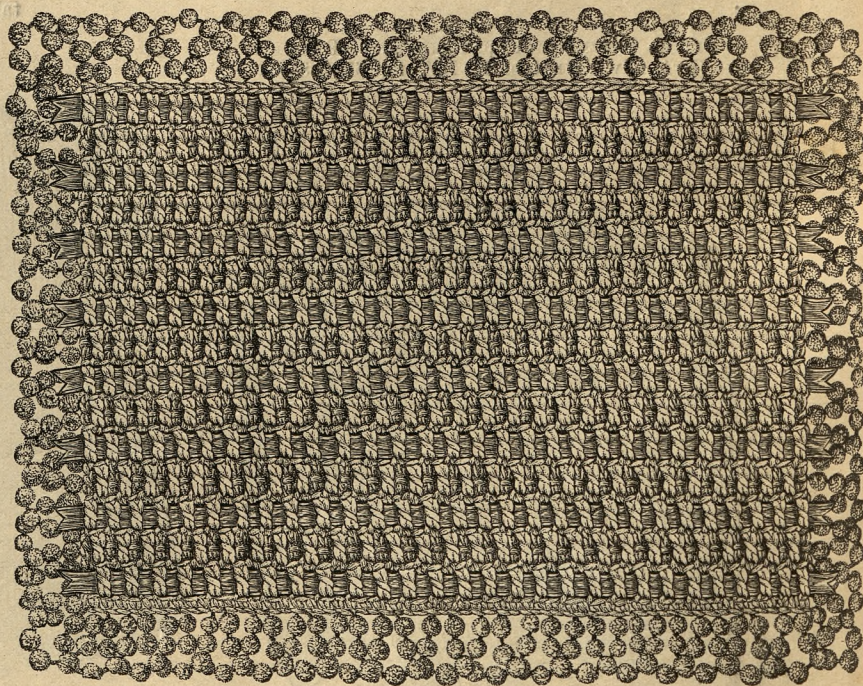
Nr 33. Bluzka z batystu dla młodej panienki. (Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 40—45).



Nr 32. Monogram.



Nr 34. Część roboty szydełkowej na kołdrę Nr 35. (2, 3 części naturalnej wielkości).



Nr 35. Kołderka na kołyskę lub wózek. Robota szydełkowa (do ryc. Nr 34).

niej części, zszyć każdą część od 60 do 61, przednie połowy od 61 do 62, tylne od 61 do 63, zmarszczyć dolną część, wszyć dolny brzeg w pasek podwójny 36 cent. długi, 2 cent. szeroki i ubrać hafcikiem. Wykonać u góry nacięcie i podkłady wzdłuż takowego, zmarszczyć górny brzeg i wszyć każdą połowę w pasek. Przedni pasek na 35 cent. długości, a tylny 38 cent.

Przepisy gospodarskie.

Zasłonka do lamp z kwiatów.

Pomimo rozmaitych nowych rodzaj zasłonek, ułożone z kwiatów suszonych są najpiękniejsze, dla tego podajemy: „Sposób zasuszania świeżych kwiatów na zasłonki do lamp.“

Ćwiarteczkę bibułki angielskiej, dowolnej wielkości, położywszy na stole, nasmarować czystą i bardzo gęstą gumą arabską, równo i dość grubo. Na tak przygotowanej bibulce układać świeże kwiaty, liście, trawki, mchy — najlepiej drobne, pojedynczych kielichów kwiaty — w kształt bukietu, wiązanki lub wianeczka, stosownie do gustu i poczucia artystycznego wykonawcy. Drugą ćwiarteczkę bibułki, nasmarować tak samo i przykrywszy nią bukiet ułożony naciskając od środka, aby usunąć powietrze, zlepić razem obie ćwiarteczki bibułki. Włożyć tak przygotowaną część zasłonki między dwie tektury i włożyć w prasę, równo i mocno ściskając. Po godzinie wyjąć i położyć do przeschnięcia na stole, gdy dosusza się, aby się bibułka w około nie zwijała, włożyć w książkę lub między dwie tektury. Do gęstości gumy arabskiej zależy przezroczystość i lśniący pozór bibułki; 6 kawałków z bukietami składa jedną zasłonkę. Każdy kawałek oprawia się w ramkę z brystolu w kształcie klina z dziurkami z boku, dla spojenia wstążeczkami wszystkich części. L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z czarnych jagód z grzankami.
2. Ozór na szaro.
3. Kotlety baranie z kalarepą.
4. Plum-buding.

U W A G A.

Tablica krojów dołączona do N-ru 29 Bluszczy służy też do numeru dzisiejszego i przyszłego.